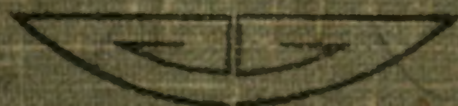
M. JANKOWSKA

№ 13.

BAJKI INDYJSKIE



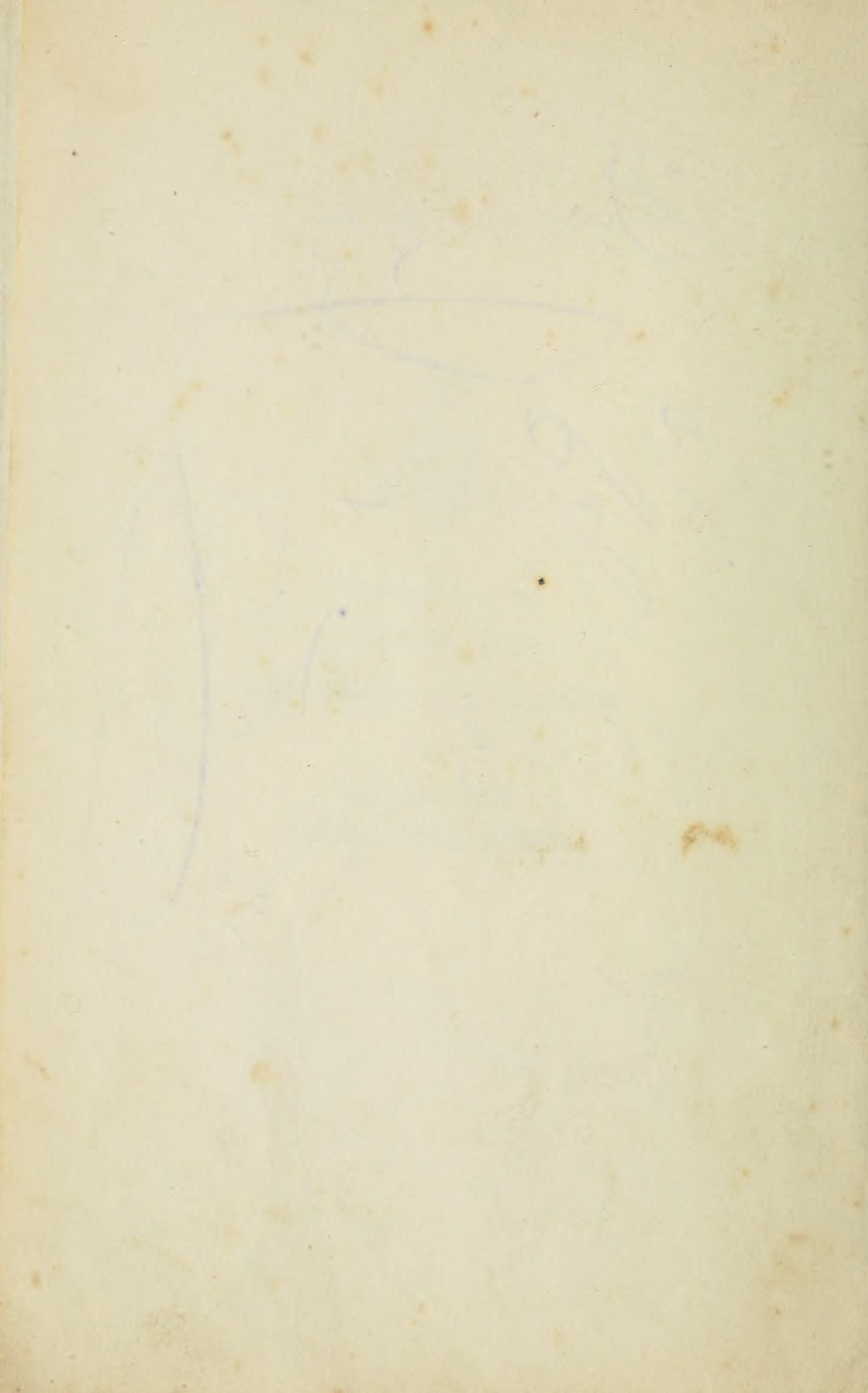

VELUT
ARBOR
ÆVO

Dziurski

Wojciech

Dziurski

Wojciech



BAJKI INDYJSKIE.

Kochanemu Andrzejkowi
na dzień Urodzin
Babcia Zosia
Kielce
[illegible]

BAJKI INDYJSKIE

OPRACOWAŁA

DLA MŁODZIEŻY

MICHALINA JANKOWSKA.



WARSZAWA

NAKŁAD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT."

WYDAWNICTWO „PRZYJACIELA DZIECI".

1913.



Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.

PRZEDMOWA.

Młodzi, kochani czytelnicy!

Był za dawnych bardzo lat w Indyach stary król. Miał on niepełnoletniego syna, który był leniwy i nie chciał się uczyć. Stary król bolał nad tem bardzo,—no, bo jakże powierzyć tron i państwo głuptasowi, który nic nie umie i niczego nauczyć się nie chce!..

Zwołał tedy król mądrych braminów na naradę.

Jeden z nich rzekł:

— By nauczyć się dobrze sanskryckiego języka, trzeba na to sześciu do dziesięciu lat; potem, żeby posiąść wiedzę, trzeba wiele ksiąg przeczytać—na co znowu potrzeba kilkunastu lat pracy. Wcześniej, niż za dwadzieścia lat, nie obiecają ci, królu, wyszkolić twego syna.

Król zmartwił się, był już bowiem nad

grobem, i tak długi termin nauki synowskiej nie zapowiadał nic dobrego dla państwa.

— Czyż nie ma na to innej rady? — zapytał zrozpaczony król.

Mądrzy bramini milczeli. Wtem zbliżył się do tronu stary siedmdziesięcioletni starzec, mądry Wiśnusiarman, i tak rzekł:

— Ja przyrzekam ci, królu, wyszkolić bez trudu twego syna i zaprawić go do rządów w przeciągu sześciu miesięcy. Jeżeli tego nie uczynię, możesz ukarać mnie śmiercią.

— Osypię cię złotem, jeżeli tego dokonasz—rzekł król rozradowany.

— Złota mi twego nie potrzeba, królu. Jestem, jak widzisz, stary—i całe życie przywykłem obchodzić się bez niego. Powierz mi tylko syna, a skutki obaczysz po pół roku.

— Chętnie to czynię i ufam twej mądrości! — rzekł król i oddał syna na wychowanie w ręce starego mędrca.

Jakże stary ów mędrzec uczył leniwego syna królewskiego, by uczynić go zdolnym do przyszłych rządów kraju?

Legenda podaje, że mędrzec ów napisał szereg bajek, które zawarł w pięć ksiąg, które zwą się po indyjsku *Panczatantram.* Bajki te mieściły całą mądrość życiową i pod postacią zwierząt, w sposób przystępny i wielce zajmujący, odtwarzały wszystkie stosunki ludz-

kie, wyprowadzając z nich zdrowy sens logiczny, niezbędny do sprawowania rządów. Młody następca tronu słuchał z przyjemnością tych bajek i mimowoli tak rozwinął w sobie zdrowy sąd o rzeczach i ludziach, że po pół roku był już istotnie gotów do rządów. Wszystkie sprawy ogarniał jasnym umysłem i znajdował mądrą radę na wszystko. Po pół roku własny ojciec dziwił się roztropności syna i nie wahał się już powierzyć mu trudnych rządów kraju.

Z szeregu tych właśnie bajek indyjskich, które były podstawą nauki młodego królewicza, wybraliśmy kilka dla was, młodzi czytelnicy. Nie sądzimy, byście po przeczytaniu tych bajek zmądrzeli tak wielce, jak ów młody książe. Nie macie zresztą królestwa do rządzenia i na głowę waszą nie spadną tak ciężkie obowiązki. Jeżeli jednak po przeczytaniu tych bajek nauczycie się choć trochę panować nie nad innymi, lecz nad sobą, jeżeli wyciągniecie z nich dla siebie choć trochę życiowej nauki, będzie to również dobrem dziełem, sporządzonem przez starą mądrość indyjską.

Do bajek indyjskich dołączamy na końcu jeszcze dwie bajki: jednę australijską i drugą afrykańską, co razem utworzy książeczkę bajek *egzotycznych*, czyli bajek z *obcych krajów*.

Życząc wam, kochani młodzi czytelnicy przyjemnego czytania i myśli przytem roztropnej, zostajemy zawsze waszymi serdecznymi przyjaciółmi.

Redakcya.

---

1. Jak bramini wskrzesili lwa.

Razu jednego mieszkało w pewnem mieście czterech braminów *), którzy żyli ze sobą w wielkiej przyjaźni.

Trzech z nich było bardzo uczonych książkowo; posiadali oni wszystkie nauki, brakowało im atoli rozsądku. Czwarty z ich liczby nie znał się na książkach, i miał tylko zdrowy rozsądek.

Urządzili oni pewnego razu radę między sobą i tak oznajmili:

— Na co się nam zdała cała wiedza, jeżeli nie niesiemy jej w obce kraje, nie zyskujemy za nią względów możnych i książąt i nie wzbogacamy nią naszych kieszeni? Dla tego też na wszelki wypadek udajmy się na obczyznę.

*) Bramin — najwyższy kapłan indyjski.

Gdy uszli już spory kawał, rzekł z nich najstarszy:

— Jeden z nas czterech—jak wiadomo— nic nie umie, posiada jedynie rozsądek. Mniemam, że książęta nie wiele skorzystają z samego rozsądku bez wiedzy. Dla tego też będzie słusznem, iż z tego, co zdobędziemy, nie damy mu części zarobku. Gdy chce, może sobie powrócić do domu.

I drugi również dorzucił:

— Ach, ty, człecze rozsądku, gdy ci braknie wiedzy, ruszaj sobie do domu!

Ale trzeci rzekł:

— Nie, tak nie uchodzi. Będąc dziećmi, bawiliśmy się razem. Dla tego niech idzie razem z nami, niech bierze udział równy z mienia, które zarobimy.

Rozsądny tedy poszedł z nimi.

Gdy szli tak drogą, znaleźli w lesie kości zmarłego lwa.

Jeden z nich rzekł:

— Oto teraz jest pora, byśmy zaświadczyli wiedzę, którąśmy w życiu zdobyli. Tu leży zmarłe zwierzę: ożywmy je za pomocą naszej dobrze nabytej umiejętności.

Na to rzekł pierwszy:

— Ja umiem złożyć kości z powrotem.

— Drugi rzekł:

— Ja kości te wiedzą moją ubiorę w mięso, krew i skórę.

I trzeci rzekł:

— A ja ożywię zwierzę.

Zebrał tedy i złożył jeden z nich kości, drugi wyposażył je w krew, mięso i skórę.

Podczas atoli, gdy trzeci chciał tchnąć już dech w zwierzę, powstrzymał go rozsądny i rzekł:

— Przecie to lew! Gdy go ożywisz, pożre nas!

Lecz ów na to:

— Ach, ty głupia głowo! Mam więc wiedzę marnować bez pożytku?

Na to znów rozsądny:

— W takim razie zaczekaj chwilkę, dopóki nie wlazę na to drzewo,

Gdy to się stało, skoro tylko lew został ożywiony, rzucił się na trzech braminów i pożarł ich.

Rozsądny zaś zlazł z drzewa, gdy lew się oddalił, i poszedł sobie domu.

Wiedza, zbyt ufna, gdy wywyższa siebie,
Traci rozsądek i sama się grzebie!

---

2. Sroki i wąż.

W pewnej pięknej dolinie rosło duże drzewo figowe, upodobała je sobie para srok i obrała na mieszkanie.

Kiedy w ich gniazdku z jajeczek wylęgły się już małe sroczki, ale latać jeszcze nie mogły, dobrał się do nich duży czarny wąż, który osiedlił się w głębokiej dziupli tegoż drzewa i, porywając biedne pisklęta, stale gniazdo nawiedzać zaczął. Rodzice, choć ciężko strapieni byli utratą dzieci, nie ratowali się jednak ucieczką, jest bowiem dawnym zwyczajem u srok, iż bardzo niechętnie opuszczają raz obraną siedzibę.

Pewnego jednak dnia zrozpaczona matka-samiczka padła do nóg samca, mówiąc: „Mężu mój i panie, zły wąż pożarł już wiele dziatek naszych; o los reszty naszych piskląt udręczona, proszę ciebie, byśmy się przenieśli

na inne jakie drzewo, tu bowiem żyjemy w ciągłem niebezpieczeństwie i trwodze o życie dzieci naszych.

Samiec, którego serce ojcowskie też ciężki ból rozdzierał, odrzekł: „Kochana moja! wszak wiesz, iż na drzewie tem długo już mieszkamy, nie możemy więc go opuścić, zamierzam jednak tego złośliwego a potężnego wroga zgładzić podstępnie“.

— Jakże ty mu podołasz? — jest to wąż duży i bardzo jadowity!—odpowiedziała sroka.

— Kochanie moje! Sam nie potrafię naturalnie uczynić mu nic złego, lecz nie brak mi rozumnych przyjaciół, którzy biegle czytają w księgach mądrości życia, do nich się zwrócę o radę, a według ich wskazówek postępując—zgotuję pewny cios temu zbrodniarzowi.

Trochę niechętnie wypowiedziawszy swój zamiar, udał się samiec do niedalekiej kępy gęstych drzew, gdzie mieszkał przyjaciel jego—szakal. Przywoławszy go uprzejmą zwrotką, opowiedział o zmartwieniu swem, kończąc temi słowy:

— Co więc mam czynić, druhu serdeczny, w tych ciężkich opałach? bowiem, udręczeni śmiercią dzieci naszych, i my rodzice już na pół tylko żywi jesteśmy“.

Po chwili głębszego skupienia, szakal tak się odezwał:

„Drogi przyjacielu! namyśliłem się dobrze, i radzę ci, byś przestał się martwić, gdyż wężowi okrutnemu grozi bliska śmierć, a powodem jej — własne jego żarłoctwo. Ty jednak nie życz nigdy źle tym, którzy ci krzywdę jaką uczynili, bowiem oni sami padną, jak drzewa nabrzeżne...

— W jakiż sposób ma wąż ten niegodziwy śmierć znaleźć?—pytał samczyk.

Szakal odpowiedział:

— Udaj się do najbliższego miasta, do pałacu jakich możnych, pochwyć tam klejnot jaki źle strzeżony; łańcuch kosztowny lub sznur pereł; odlatuj z nim prędko, a potem rzuć go w dziuplę waszego drzewa. Gdy przyjdą wydostać klejnot znajdą węża i zabiją go niezawodnie.

Idąc za mądrą radą, oba ptaki wzbiły się wysoko, lecąc ku miastu.

Przelatując nad poblizkiem jeziorem, samiczka opuściła się na ziemię. Sfrunąwszy na piasek nadbrzeżny, ujrzała kąpiące się w kryształowej wodzie piękne córy królewskie w otoczeniu panien dworskich. Na murawie zaś w cieniu drzew leżały porzucone śliczne haftowane szaty, sandały, klejnoty i perły. Sroka, pomna rady szakala, bez namysłu

chwyciła łańcuch złoty, unosząc szybko swą lśniącą zdobycz ku drzewu figowemu.—Dworzanie i sługi, widząc ulatującego złodzieja, rzucili się za nim z kijami i drągami, bacznie śledząc kierunek jego lotu.

Sroczka, dopadłszy drzewa swego, upuściła łańcuch w spruchniałą dziuplę, gdzie drzemał ociężały, najedzony wąż.

Ludzie dworscy szybko weszli na drzewo, a ujrzawszy jadowitego węża, zabili go z łatwością, gdyż nie mógł ratować się ucieczką.—Od tej chwili żyły sroki szczęśliwie i całkiem już bezpiecznie.

3. Lew i zajączek.

Żył pewnego razu w dzikiej leśnej puszczy lew, nazywał się Mandamati. Chciwość jego i okrucieństwo nie miały granic, mordował bez litości i racyi wszystkie zwierzęta, żadnego nie oszczędzając. Zrozpaczone stworzania, przebywające w tym lesie, antylopy, dziki, sarny, zające i wiele innych jeszcze, zebrały się pewnego poranku i po wspólnej naradzie poszły, uklękły wszystkie przed lwem, a poważnie opuściwszy głowy, z pokorą, lecz i z godnością zarazem, oświadczyły:

— Dość już, panie miłościwy, tej rzezi bezcelowej i mordu. Zabijając nas tak gromadnie, wytracisz zupełnie rodzaj nasz na ziemi; wysyłając nas zbiorowo na tamten świat, postępujesz i w stosunku do życia właściwie niedobrze,—nie gub nas, prosimy, my zaś sami obowiązujemy się dostarczać panu naszemu

i władcy codziennie właściwą mu strawę, a mianowicie: różne zwierzęta z tego lasu, kolejno według gatunków i rodzajów. Gdy tak czynić będziemy, nie zabraknie ci nigdy pożywienia, i żaden gatunek zwierzęcy nie wyginie doszczętnie.

Wysłuchawszy tej przemowy, Mandamati rzekł:

— Tak, zapewne! macie racyę, lecz pamiętajcie! jeżeli którego dnia, gdy tu w południe odpoczywam, nie przyjdzie do mnie zwierzę odpowiednie na spożycie, następnego dnia wymorduję was wszystkich!

Po zawartej umowie, spokój zapanował w puszczy leśnej. Codziennie w porze obiadowej szły bez szemrania ofiary, przeznaczone na posiłek dla króla lasów, a zawsze porządkowo, każdy gatunek po kolei.

Czasem los padał na młode, innym razem na stare zwierzęta, bywały takie, które żałowały życia, inne znowu, zniechęcone doznanemi zawodami, szły obojętne.

Pewnego dnia na ogólnem zebraniu postanowiono, iż kolej dziś przyszła na zająca, i on winien w porze obiadowej udać się do lwa i służyć mu na pieczyste swem delikatnem mięsem. Wysłuchawszy smutnego wyroku, zajączek, żałując życia a brzydząc się okrucieństwem lwa, rozmyślać zaczął nad mo-

żliwym ratunkiem i zagładą nieprzyjaciela, miał bowiem przekonanie, iż mądrością i wytrwałością pokonać można siłę wroga.

Posłuszny jednak wyrokowi, szedł ku schronieniu lwa, lecz szedł wolno, głęboko zadumany, skupiając myśli i krzepiąc serce— a czas płynął.

Gdy wreszcie stanął u celu, miało się już ku wieczorowi. Lew zgłodniały był i zły, oblizywał jęzorem kąty paszczy i mruczał.

— Ha! poczekajcie, jutro rozszarpię was wszystkich!

Gdy tak pomstował, zbliżył się powolutku zajączek i, ukłoniwszy się nisko, stanął pokornie przed panem.

Lew, widząc, iż pożywienie przychodzi tak późno i, takie przytem marne, ryknął:

— Ach ty, malcze! jak śmiesz przychodzić sam tylko, takie chuchro na jeden ząb, i tak późno w dodatku! gdy ciebie połknę, pójdę mordować tamtych! poznacie mnie teraz!

Zajączek skłonił się znowu najgrzeczniej i pokornie powiedział:

— Miłościwy panie! nie moja w tem wina, ani nawet innych zwierząt, iż tak późno przychodzę. Jeśli pozwolisz, wyjawię ci istotną tego przyczynę.

— Mów więc, zanim dostaniesz się w moję paszczę, tylko mów prędko.

Zajączek rzekł:

— Panie mój! otrzymaliśmy dziś rano, ja i pięciu moich współbraci—zajęcy—rozkaz, byśmy szli w oznaczonej porze służyć ci na pożywienie, bowiem zgromadzenie zwierząt orzekło, iż kolej dziś przyszła na ród szaraków w ogólności i na mnie marnego w szczególności.

Posłuszni wyruszyliśmy. W drodze zagadnął mnie pewien lew, który wyszedł był właśnie z podziemnej swej nory, pytając: „Dokąd idziesz?“ Odpowiedziałem: „Idziemy do naszego pana, lwa Mandamati, abyśmy mu służyli według umowy, jako pożywienie“. „Ha! wykrzyknął? To tak?! wiedzcie więc, że ten las do mnie należy i haracz mnie oddawać powinniście! Ten Mandamati — to istny zbój! Idź i przywołaj go tu, byśmy się zmierzyli w mocy i sile, a zobaczymy, kto z nas prawdziwym królem i kto panować ma nad zwierzętami!“ Powtarzam panu słowa jego zuchwałe i słucham twego rozkazu!“

Tłumiąc wściekłość, która go ogarniała, Mandamati zawołał:

— Mały, prowadź mnie zaraz do tego łotra, bym go poskromił i miał wreszcie spokój!

— Będzie to rzeczą całkiem słuszną, o, panie, lecz on mieszka w zamku podziemnym, zdobywać go trzeba; nieznając zaś siły wroga, trudną jest walka—nieśmiało dodał zajączek.

— To do ciebie nie należy, mniejsza z tem, że mieszka w zamczysku, prowadź mnie do niego—gniewnie przez zęby mruczał lew.

— Według woli twojej panie — pokornie odrzekł zajączek.

Skoro uszli kawał drogi, przystanął zajączek koło znanej mu starej głębokiej studni i cicho szepnął:

— Panie! Kogoż nie olśni twoja moc i majestat, oto spostrzegłszy ciebie z daleka, skrył się ten zbój do zamku swego, racz się tu zbliżyć, bym ci go pokazać mógł.

— Pokaż mi go coprędzej—niecierpliwił się lew.

Zajączek w milczeniu wskazał mu studnię.

Oślepiony szałem gniewu, skoro ujrzał lew odbicie swoje w głębi studni, pewnym był, że jest to właśnie wróg jego. Ryknął więc groźnie. Odpowiedziało mu echo z głębi dwa razy głośniejszem ryknięciem.

Przekonany, że przeciwnik jest istotnie silniejszy, chciał lew zyskać na czasie, pierwszy zacząć bój, rzucił się więc w głębię studni i zginał w niej marnie.

Zajączek pośpieszył zawiadomić wszystkie zwierzęta, iż mogą odtąd żyć w spokoju, gdyż lew już nie żyje.

Zwierzęta ucieszyły się bardzo i dziękowały zajączkowi, chwaląc jego roztropność.

———

4. Rak zbawca.

Pewien młody bramin *) zamierzał odbyć dalszą podróż. Postanowienie to zaniepokoiło matkę jego, która go bardzo kochała; gdy odchodził, rzekła mu:

— Synu kochany, nie puszczaj się w tę wędrówkę całkiem samotny, drogi są niepewne i wiele różnych niebezpieczeństw grozić ci będzie.

Odpowiedział jej:

— Idę we własnej sprawie, matko moja, muszę więc iść sam.

Widząc, że zamiar syna jest stanowczym, wzięła matka leżącego nad stawkiem raka i dała mu go, mówiąc:

— Skoro musisz iść sam, weź, proszę, tego małego raka, niechaj choć on będzie ci

---

*) Kapłan indyjski.

towarzyszem. Zachowaj go troskliwie i idź w spokoju.

Szanując wolę matki, wziął bramin raka, ostrożnie zawinąwszy go w liście drzewa kamforowego, wsunął do kieszeni, poczem, pożegnawszy domowników i matkę, wyruszył w drogę.

Szedł długo, słońce paliło mocno, upał dokuczał dotkliwie. Gdy doszedł wreszcie do lasu, spoczął pod wielkiem rozłożystem drzewem, a będąc mocno znużonym, usnął wkrótce głęboko.

Wtedy to z pomiędzy konarów starego drzewa wysunął się stary jadowity wąż i przyczołgiwał się coraz bliżej ku śpiącemu młodzieńcowi; wreszcie wpełzł na jego opończę i przegryzłszy wiotką wełnę odzieży, zajadać począł znajdujące się w kieszeni liście kamforowe.

Wówczas ukryty w nich rak chwycił nagłym rzutem swych silnych kleszczy głowę jadowitego gada i odciął mu ją całkowicie.

A kiedy się bramin obudził i spostrzegł zabitego węża, przegryzioną odzież swoję, poszarpane i pogryzione liście, wreszcie raka, który przesunął się do malutkiej poblizkiej kałuży, domyślił się, jak straszna toczyła się tu walka i jakie mu groziło niebezpieczeń-

stwo. Z głęboką też wdzięcznością zwrócił myśl i serce ku matce swej, mówiąc w duszy:

— O, matko droga! miałaś słuszność, dając mi tego małego towarzysza do wędrówki mojej, oto uratował mi on życie, płacąc mi za moje posłuszeństwo synowskie!

Gołębie w sieci i mysz.

Chciwy zarobku ptasznik zastawił dużą sieć na cienistej polance w lesie palmowym, posypał ją suto bujnem ziarnem ryżowem, a sam ukrył się w gęstych lianach, czekając na łatwą zdobycz.

Ciekawa z natury, lecz i mądra zarazem wrona podpatrzyła zabiegi chytrego łowca, a biorąc w opiekę ród ptasi, usiadła na liściu palmowym i przyciszonem, trochę chrapliwem nawoływaniem przestrzegała zbliżające się ku sieci ptaki o grożącem im niebezpieczeństwie, gdyby uległy nęcącym pozorom smacznej wieczerzy.

W tym czasie właśnie bujał wysoko ponad wierzchołkami drzew, otoczony setką naj-

przedniejszych gołębi, król ich pięknopióry, Citragriwa.

Ujrzawszy z wysoka tyle dorodnego ziarna, ucieszył się szczerze, iż wszyscy jego dworzanie posilą się dziś do syta, były to bowiem czasy wielkiej posuchy, zboża zwiędły a ludziom, zwierzętom i ptakom często głód doskwierał.

Usłużna wrona daremnie powtarzała swą ostrzegawczą piosenkę, zgłodniałe gołębie nie chciały jej słuchać, i całe gromady wraz z królem swoim opadły na ukrytą w trawie sieć.

Po chwili uczuły krępujące straszne więzy, a gdy chciały uciekać, plątały się jeszcze bardziej w przemyślnie powiązane sznury.

Ptasznik pośpieszał już z ukrycia, by pochwycić skrępowane gołębie i cieszył się bogatą zdobyczą. Lecz Citragriwa, który w nieszczęściu nie stracił głowy, odezwał się do ptaków w te słowa:

— Nie trwóżcie się, w jedności i zgodzie ratunek nasz i zwycięztwo! baczcie tylko, by każdy całych sił swoich dołożył i byśmy wszyscy razem, jednocześnie—jak jeden ptak, porwali się i ulecieli, unosząc wraz ze sobą tę fatalną sieć w przestwory. Kto zamarudzi i będzie niechętny, niegorliwy lub obojętny, ten zgubi siebie i nas wszystkich, gdyż tylko

w jedności i zgodzie podołamy tym ciężkim więzom naszym!

Gołębie zrozumiały mądrość i doniosłość rady, porwały się wszystkie jednocześnie na dany znak i z łatwością uniosły sieć wysoko w dal. Wzbiła się ona nad niemi, tworząc baldachim, a lśniła w słońcu, jak szczerozłota.

Ptasznik osłupiał ze zdziwienia, widząc ulatujące ptaki, pośpieszał co sił za niemi, lecz krzewy kolczaste raniły mu ciało, trawy wysokie i pną e krępowały nogi, w końcu wysokie palmy skryły mu je zupełnie z przed oczu. Zły i znużony zaniechać musiał pogoni.

Gołębie tymczasem leciały zgodnie i sprawnie ku północo-zachodowi, stosując się do wskazówek Citragriwy. On zaś skierował lot ku siedzibie mądrej i wszystko przewidującej przyjaciółki swej—starej myszy, imieniem Hiranyaki.

Mieszkała ona w rozległym swym zamku podziemnym, który miał sto wejść i sto wyjść. Mądrość i uczciwość pani Hiranyaki słynęła śród zwierząt, wiedziano, iż zna ona dobrze prawa, rządzące światem, mówili też, iż tajemnice przyszłości są jej wiadome, niechętnie jednak je oznajmia.

Gołębie opadły u jednej z bram, prowadzących do licznych korytarzy i przedsionków podziemnego pałacu.

Citragriwa, słodko a tęsknie gruchając, zawołał:

— Droga Hiranyako! przybądź, proszę, na ratunek, w ciężkiej bowiem jestem potrzebie!

Przezorna mysz spytała o nazwisko wzywającego pomocy. Dowiedziawszy się, iż jest to druh jej serdeczny, król Citragriwa, podbiegła śpiesznie, uprzejmie go witając zdaleka. Bystro spojrzawszy szaremi oczkami, spostrzegła odrazu przyczynę troski królewskiej, lecz przyjętym zwyczajem spytała:

— Cóż to się stało, drogi Citragriwo? opowiedz mi, gdzie was spotkała ta klęska i w jaki sposób?

— Po co tyle pytań, kochana Hiranyako! wiesz dobrze, iż ręka srogiego losu dosięga nieraz zdaleka i ryby w wodzie, i ptaki w powietrzu, i zwierzęta na ziemi. Może te próby życiowe idą nam na pożytek! odpowiedział Citragriwa.

Słów jego słuchała zacna mysz, przegryzając starannie oplątujące jego nogi sznury i sznurki. — Powstrzymał ją w tej pracy dobry król, mówiąc:

— Nie zaczynaj odemnie, droga Hiranyako! Wróć pierwej wolność przyjaciołom moim i dworzanom, a potem zerwij i moje pęta.

— Cóż znowu! — zawołała mysz—pierwszym jest pan, po nim dopiero idą dworzanie i sługi!

— Źle mówisz, przyjaciółko droga, wszak oni wszyscy zależni są odemnie, powinienem zatem dbać o nich więcej, niż o siebie, wierności ich i posłuszeństwa miałem wiele dowodów, teraz przyszła kolej na moję dla nich wdzięczność; przytem gryząc moje więzy, może by ciebie zabolały zęby i już byś więcej pracować nad uwolnieniem innych nie mogła, lub nadbiegł by tu ten złośliwy ptasznik, — powiedz sama! co by się wówczas z biednemi stało! mnie zaś zadręczyły by wyrzuty sumienia, a to jest chyba najstraszliwsza na świecie kara! Więc, proszę, zaczynaj od innych, ja będę ostatnim".

— Pragnęłam tylko doświadczyć ciebie, Citragriwo! widzę teraz z radością, iż wielkim i mądrym jesteś królem i umiesz rozumem panować nad ludem swoim. Za chwilę wolni będziecie i szczęśliwi!

To mówiąc, dzielna mysz szybko i spraw-

nie przegryzała sznury i oka splątanej sieci. Niezadługo opadły wszystkie więzy, i gołębie uleciały radośnie, dziękując pięknem gruchaniem dobrej Hiranyace i wielbiąc swego króla, piękno-piórego Citragriwę.

Osioł bez uszu i serca.

W bujnym palmowym lesie mieszkał kiedyś lew, imieniem Karalakesara. Dwór jego składał się tylko z dwojga sług: szakala i kruka.

Zdarzyło się pewnego dnia, iż w ostrej potyczce ze słoniem lew został srodze raniony w przednią łapę i wcale się ruszać nie mógł. Zabrakło więc pożywienia i panu, i sługom. Po paru dniach postu, osłabionym z głodu głosem odezwał się szakal:

— Panie mój! nie mogę być ci dłużej posłusznym sługą i pachołkiem,—całkiem bez sił jestem, nogami ledwie powłóczę, tak mocno mi głód doskwiera!

— Więc idź—lew odrzecze—i napędź mi tu blisko jaką zwierzynę, a choć ranny jestem, podołam jej niewątpliwie.

Otrzymawszy zezwolenie, wyruszył szakal na poszukiwanie łupu.

Skradając się, szedł w stronę miasteczka. Niedaleko zabudowań ludzkich, na wypalonym od słońca wygonie, skubał zwiędłe kępki trawy młody, niedoświadczony osioł.

Skoro go szakal dojrzał, zbliżył się doń powoli i zagadnął uprzejmie:

— Witaj, kochany krewniaku! dawno cię już nie widziałem, zmieniłeś się bardzo! jakoś niedobrze wyglądasz,—czy ci co dolega?

— Ach, drogi kuzynie! ciężką mam służbę, pan mój, farbiarz z tego miasteczka, objucza mię ciężarem po nad siły moje, wzamian zaś za moję pracę daje mi szczupłą garstkę jadła, resztę głodu zaspakajam tą suchą, zakurzoną trawą.

— Chodź ze mną do lasu, kochany krewniaku! zaprowadzę cię na poblizką, śliczną łączkę, trawa na niej szmaragdowa i wonna, strumyk przepływa tuż, a woda w nim smaczna, jak nektar,—chodźmy tam zaraz.

— Jakżebym chętnie poszedł z tobą, kochany kuzynie—odpowie osioł, —mówiono mi jednak, iż las—to państwo zwierząt drapieżnych, i my, domowe zwierzęta, wchodząc tam, stajemy się ich łupem.

— Cóż znowu!—żywo zaprzeczył szakal—miejsce, o którem mówię, znajduje się pod

moją wyłączną opieką i nic cię tam złego nie spotka, a raczej przeciwnie, gdyż pasą się tam właśnie trzy dorodne oślice, prosiły mię one niedawno, bym której z nich wyswatał na męża jakiego zacnego osła,—pomyślałem zaraz o tobie i dlatego tu przyszedłem. Cóż mam im powiedzieć?

— Ach! nie wiedziałem o tem wcale, chodźmy tam, drogi mój, coprędzej, dość już mam przykrej samotności i służby u farbiarza!“

Skoro zbliżyli się do ukrytego w zaroślach lwa, ździwił się on tak bardzo głupocie osła, który dobrowolnie szedł w moc jego pazurów, iż nie wymiarkował skoku i, przesadziwszy kłapoucha, runął o staję za nim na ziemię. Oślisko zaś, przerażone widokiem nieznanego mu zwierzęcia, które, jak piorun, przeleciało nad nim, rzucając skry z oczu płomiennych, zadarło ogon i popędziło co sił ku miasteczku, podczas gdy serce zamierało mu ze strachu.

Lew, zawstydzony nieudanym zamachem, upewniał szakala, iż słoń nawet nie ujdzie jego pazurów, jeśli tylko skok dobrze wymiarkuje.

— A więc—rzekł szakal,—przygotuj się, panie, należycie do nowego skoku.

— Nie wierzę—dumnie odparł lew,—„by

ten, co raz ujrzał moję moc i potęgę, odważył się powtórnie stanąć przedemną.

— A jednak twierdzę na pewno, iż osioł wróci, i proszę pokornie o baczność.

To mówiąc, skierował się szakal w powrotną drogę ku miasteczku.

Osioł zobaczył go zdaleka i zaraz zawołał:

— W śliczne też miejsce zaprowadziłeś mnie, kuzynie! ledwie z życiem umknąć zdołałem, powiedz mi jednak, co to było za zwierzę, które, niby piorun, runęło tuż za mną, ciskając błyskawice z oczu?

Szakal roześmiał się na całe gardło.

— Krewniaku kochany! wszak to była oślica! widok twój tak ją oczarował, iż skoczyła radośnie, by ciebie powitać, ty zaś, jak tchórz jaki, uciekłeś, przestraszywszy się jej trochę nazbyt żywych ruchów. Gwałtowna ucieczka twoja przygnębiła ją ogromnie; poleciła mi, bym ci powiedział, iż, jeżeli nie wrócisz, to ona z rozpaczy utopi się, lub pójdzie w ogień, lub wyszuka i spożyje jakie trujące ziele; wróć więc, gdyż inaczej będziesz ciężkim winowajcą, a ona nieszczęśliwą ofiarą twoją.

Osioł, uwierzywszy tym bredniom, wrócił z szakalem w to samo miejsce, gdzie gotowy do skoku oczekiwał na nich lew.

Rzucił się on teraz, jak strzała, i rozszarpał osła w jednej chwili.

Następnie, poleciwszy szakalowi, by bacznie pilnował zdobyczy, poszedł użyć kąpieli przed sutą wieczerzą.

Skoro lew się oddalił, zgłodniały szakal, nie hamując swego łakomstwa, zjadł uszy ośle i serce.

Wróciwszy z kąpieli, zasiadł lew do uczty, lecz, spojrzawszy uważnie na swój łup, ryknął zagniewany:

— Ach, ty, łakomcze szkaradny! jak śmiałeś zjeść uszy i serce tego osła, a zostawić mi resztę, jak ochłap!

— O! panie. Wyrzekłeś wielką niesprawiedliwość, ten osioł wcale nie miał ani serca, ani uszu! Czyż, gdyby je posiadał, wróciłby tu, skoro pierwiej uciekł, przerażony twą siłą i potęgą?

— Tak jest, istotnie, musiał to być szaleniec bez uszu i serca — dumnie zamruczał lew i, przymykając oczy, zabrał się do jedzenia.

Żółw gaduła.

Był sobie niegdyś w pięknych dalekich Indyach młody król i mały żółw—i obaj byli wielkiemi gadułami. Król nazywał się Brahma-Datta, mieszkał w cudnym pałacu, był panem i władcą nad milionami ludzi.

Chociaż miał pełne skrzynie cennych, lśniących kamieni, złota całe góry, był wielkim i możnym, poddani nie szanowali go.

Gdy przejeżdżał ulicami swego pięknego miasta Benaresu na złocistym wozie, ciągnionym przez strojne w pióropusze rumaki, otoczony dworzanami i giermkami, żebracy przydrożni mówili między sobą:

— Oto jedzie ten, który nie umie milczeć! Mówi on ciągle, mówi bez przerwy, nikomu do słowa przyjść nie da i w ciągu jednego dnia powie więcej niedorzeczności, niż Harizarman przez całe życie. Nie powierzaj-

cie Brahma-Dacie swoich sekretów, gdyż przestaną być tajemnicą.

Harizarman, który był pierwszym ministrem króla, słyszał często podobne rozmowy poddanych o władcy swoim i martwił się niemi bardzo. Nie wiedział, jak zaradzić tej wielomówności młodego króla i, im więcej rozmyślał, tem to zadanie wydawało mu się trudniejszem.

Żółw zaś przemieszkiwał w stawie śród cienistych ogrodów królewskich, a był jeszcze gadatliwszym od młodego króla.

Przemawiał wciąż do papug i ryb, gawędził z małpami, opowiadał o czemś ciągle ptakom, cały dzień nudził wszystkich swoją rozmową. Aż wreszcie znużeni słuchacze uciekali przed samym dźwiękiem jego głosu.

— Ile krzywdy robi on nam swojem gadulstwem — ubolewały ryby, spoczywające na dnie stawu — wszak to on wypaplał czaplom o naszych kryjówkach, a one wyławiają nas teraz i zjadają.

— To on również opowiedział papugom, tym pięknym Ara, co niedawno małpy, wesoło sobie żartując, mówiły o ich ogonach i wywołał tem między rodami papug i małp ostrą kłótnię i waśń, która trwa do dzisiejszego dnia.

— To szkaradny gaduła i plotkarz, gor-

szy nawet od samego króla Brahma-Datty — cichutko zaświergotał śliczny koliberek. — Miejmy nadzieję, że może go kto poprosi na lato—dodał głośniej trochę.

Nadeszły letnie dni upalne. Król odjechał do pięknego zamku, położonego śród skał gór Himalajskich. Żółwia pozostawiono w stawie.

Minister Harizarman został jeszcze w mieście dla ukończenia ważnych spraw państwowych. Pewnego poranku, przechodząc koło stawu, spostrzegł dwie dzikie kaczki odpoczywające, a tuż obok żółwia, który wygrzewał się na słońcu.

— Dokąd podążacie? — zapytał naraz żółw.

— Lecimy do ślicznej miejscowości w górach Himalaja, nazywa się Złota grota na Cud-górze.

— Jaka to śliczna nazwa!.. Proszę was, powiedzcie, czy macie tam staw?

— Nie, ale są tam jeziora i rzeki, co jest o wiele przyjemniejsze. Leć z nami, to zobaczysz.

Żółw był już trochę zniechęcony do przemieszkiwania w tym stawie, gdzie jego gadulstwo przyczyniło mu dużo niechętnych i nieprzyjaciół. Nie wiedział jednak, w jaki

sposób mógłby wyruszyć w tak daleką podróż z dzikiemi kaczkami.

— Gdybym tylko miał skrzydła, chętnie poleciałbym z wami.

— Zabierzemy cię chętnie!—żywo zagdakały kaczki. — Uchwycimy naszemi mocnemi dziobami za oba końce grubego kija, ty się uczepisz zębami za środek. Nie otwieraj tylko buzi, a wszystko będzie dobrze!

— Ależ ja to z łatwością potrafię—zawołał uradowany żółw.

— Nie potrafisz — pomyślał Harizarman, który, ukryty za drzewami, słyszał całą rozmowę:—bo trzeba będzie, żebyś trzymał (jak to mówią) język za zębami, a tyś tego nigdy jeszcze nie dokazał, bratku!

Pozostawiwszy kaczki i żółwia na długich naradach nad tą trudną podróżą, Harizarman wkrótce odjechał, dążąc ku śnieżnym szczytom gór Himalajskich, do zamku królewskiego.

Wreszcie i kaczki z żółwiem, wiszącym pomiędzy niemi na kiju, uniosły się po nad stawem.

— Szczęśliwej podróży! nie wracaj tylko do nas prędko!—cieniutkiemi głosikami piszczały małe rybki, śledząc pilnie okrągłemi oczkami wzlot trojga podróżnych. Żółw już miał gotową odpowiedź: Wcale nie mam tego

zamiaru, zachowajcie wasz marny staw dla siebie, ale ugryzł kij mocniej, nie mając ochoty plusnąć napowrót do stawu.

Lecieli nad lasami, lecieli nad łąkami, pełnemi cudnych kwiatów, nad gwarnemi wioskami i miastami, pięknie zabudowanemi, a poczciwe kaczki wciąż przypominały żółwiowi, że musi milczeć, jeżeli nie chce runąć w przepaść i zabić się.

Następnego dnia, kiedy lecieli nad jakąś wioską, młoda kobieta, pracująca w polu, spojrzała w górę i wykrzyknęła ździwiona:

— Patrzcie! dwie dzikie kaczki unoszą żółwia, uczepionego do kija.

Żółw tak się rozgniewał tą uwagą wieśniaczki, że chciał jej odpowiedzieć: — „A co tobie do tego, nieznośna kobieto!“ — ale powstrzymał się w porę i z wielkiej irytacyi wgryzł się zębami aż do połowy grubości kija.

Wreszcie zawisnęli nad ogrodami, otaczającemi zamek na Cud-górze. Na polance bawiło się kilku chłopców. Ujrzawszy kaczki, zaczęli rzucać w górę kijami.

Jeden z malców zawołał:

— Palnij w tego starego tłustego żółwia, ugotujemy sobie z niego zupę!

Żółw już nie mógł dłużej milczeć, było to nad jego siły :— Zupę?—wrzasnął:—to z was, brzydale, trzeba zrobić zupę!

Właściwie miał zamiar tak im odkrzyknąć, gdy bowiem otworzył pyszczek i puścił kij, runął martwy na ścieżkę parku.

W pobliżu przechadzał się właśnie król ze świtą. Minister Harizarman rzucił się ku żółwiowi, chcąc go ratować, lecz biedny gaduła już nie żył.

— Jaką moralną naukę mógłbyś wysnuć z tego wypadku, Harizarmanie?—zapytał król ministra. — Czy żółw ten spadł z nieba, jako znak tajemniczy, przestrzegający nas o grożącem niebezpieczeństwie?

— Nie, królu! niosły go przez przestworza powietrzne dwie dzikie kaczki. Jeżeli łaskawie zezwolić raczysz, miłościwy panie, opowiem dokładnie całą tę historyę.

Po otrzymaniu pozwolenia od króla, Harizarman opowiedział wszystko, co widział i słyszał nad stawem w ogrodzie pałacowym.

Brahma-Datta, młody król, słuchał w milczeniu, wreszcie rzekł:

— A więc powodem nieszczęścia tego jest jedynie to, iż żółw nie umiał milczeć? I za to spotkała go tak straszna kara...

Minister skłonił się głęboko.

Król zamyślił się, a po chwili zawstydzony rzekł ciszej:

— Zdaje mi się, drogi Harizarmanie, że i ja często za dużo mówię.

Dworzanie spojrzeli po sobie zmieszani: pewni byli, że minister zaprzeczy królowi gorąco. Czyż bowiem mogą królowie mówić za dużo? Wszak cały świat powinien z zachwytem słuchać ich słów.

Z ciekawością wielką oczekiwali wszyscy na odpowiedź ministra. Niektórzy z zawistnych mu dworzan cieszyli się już w duszy z tego zdarzenia, przypuszczając, że popadnie w niełaskę.

Lecz Harizarman zbliżył się i, patrząc królowi prosto w oczy, odrzekł poważnie:

— Szczęśliwym jest kraj, którego władca zna wady swoje.

— Szczęśliwym również jest król, gdy posiada tak prawego i szczerego doradcę, jakim ty jesteś—dodał król i, zwracając się do dworzan, wydał rozkaz, aby pięknie wyrzeźbiono żółwia w złocie i umieszczono go w pałacu na pamiątkę zdarzenia dnia tego.

Niezadługo w wielkiej sali stanął na pięknej jaspisowej kolumnie żółw złoty... Król, przechadzając się po pałacu, patrzył nań często, przypominając sobie smutne skutki gadulstwa.

* *

*

Od chwili swej przygody z żółwiem młody król Brahma-Datta często zasięgał świat-

łych rad ministra Harizarmana i stawał się coraz mędrszym i lepszym; posiadł też trudną sztukę milczenia.

Naród kochał i czcił swego młodego króla, a głosów niechętnych nie słyszano już nigdy śród wdzięcznych i wiernych mu poddanych.

Sąd małpi.

Kiedyś za dawnych bardzo czasow, kiedy niewiele jeszcze ludzi było na świecie, a śród żywiołów, zwierząt i rzeczy panowała zgoda i przyjaźń, otrzymał pewien gatunek małp, w nagrodę za spryt swój, pozwolenie chodzenia — nie na czworakach, jak inne zwierzęta, lecz na dwóch kończynach dolnych i całkiem prosto, jak człowiek.

Urosł też ród małpi w wielką dumę i zarozumiałość, a najstarszy z ich pokolenia przybrał sobie dźwięczne imię: Prob i ogłosił się królem całej okolicy.

Chciał sprawować rządy nad innemi zwierzętami i sądzić wszelkie między niemi sprawy, gdyby zaszła tego potrzeba.

Największym z jego 'czworonożnych lenników był słoń, najmniejszą z sześcionożnych—mrówka; prócz tego, posłuszni mu byli:

mysz, kot, pies, mocny kij sękaty, czysta woda w jeziorku i jasny ogień, wesoło płonący.

Wszyscy żyli w zgodzie i przyjaźni. Woda nie gasiła ognia, kot nie uganiał się za myszą, a pies był mu druhem najbliższym; kij sękaty wędrował sobie spokojnie, nigdy nie zamierzał się na psa, małej zaś mrówce nie śniło się nawet, by mogła kiedy wielkiego słonia ugryźć w długą jego trąbę.

I było by tak pewnie trwało do dnia dzisiejszego. Ale oto, pewnego razu przyszedł do króla Proba biedny krawiec, imieniem Itkler, ze skargą, iż tej nocy ktoś psotny zrobił mu w sztuce pięknego sukna, z którego właśnie miał skroić zamówioną szatę, sześć sporych dziur.

— Szukam sprawiedliwości u waszej królewskiej mości,—mówił zmartwiony krawiec pokazując sukno,—proszę pokornie o osądzenie całej tej sprawy i ukaranie winnego. Chciałem sam wybadać, kto mi uczynił tę krzywdę, i w podejrzeniu miałem mysz, ona jednak stanowczo się wypiera i twierdzi, iż winowajcą jest kot, kot znowu utrzymuje, iż widział sukno w pysku psa, pies zaś mówi, że kij jest wszystkiemu winien, kij zapewnia stanowczo, że to sprawka ognia, który te dziury wypalił, ogień obwinia wodę, woda zwala całą winę

na słonia, a słoń jest tego przekonania, iż napewno uczyniły to mrówki — i jak tu teraz dojść prawdy?

— Hm, hm! to bardzo zawiła i trudna do roztrzygnięcia sprawa, — mruczał pod nosem małpi król, Prob, marszczył przytem czoło na znak głębokiej zadumy i robił bardzo mądre miny, chodząc po miękkiej murawie z założonemi w tył rękoma.

A krawiec mówił dalej:

— Powstały też teraz między niemi wszystkiemi sprzeczki i kłótnie, a gniewne ich głosy aż tu dolatują chwilami. Każ im, panie przyjść przed tron twój zielony, a prawda wyświetli się wreszcie i winowajca otrzyma należną mu karę.

— Sprzeczki, mówisz, i kłótnie? ależ nigdy się one dotychczas w mojem państwie nie trafiały! O, jakież to złe i smutne czasy nastały, muszę się naradzić nad tem wszystkiem z moim światłym ministrem szakalem; spocznij tu sobie tymczasem, zanim nie wrócimy z sesyi.

Itkler usiadł w cieniu palmy, wyjął nici, igłę i naparstek, zamierzając łatać sukno, lecz król Prob stanowczo mu zabronił i rzekł:

— Jeżeli uda ci się dobrze zacerować, i dziury nie będą zbyt widoczne, to utrzymywać oni będą, iż żadnych dziur w suknie nie było,

utrudnisz tem jeszcze bardziej tę zawikłaną sprawę, z którą wogóle nie wiem, jak dojdziemy do ładu,—rachuję jednak na bystrość mego ministra szakala, no, i na moję wielką mądrość i doświadczenie.

— Pozwól, panie, marnemu słudze twemu rzec słówko jeszcze,—pokornie, lecz szybko, odpowiedział krawczyk:—oto nie wzywaj na wielką a tajną naradę ministra twego szakala i nie słuchaj jego podszeptów i uwag, gdyż wszystkie jego rozporządzenia, nakazy i nowe reformy nie przyniosły ani okolicy naszej, ani tobie, panie, żadnej korzyści, lecz przeciwnie—szkodę.

Itkler miał racyę, szakal nie był mądrym i sprawiedliwym, lecz tylko chytrym i chciwym zarządcą, a ci, którzy rad jego usłuchali, żałowali tego zawsze, lecz już poniewczasie.

Król Prob z niezadowoleniem słuchał uwag krawca, wreszcie odwrócił się i, wydąwszy grube swoje wargi, przywołał przeciągłem świśnięciem szakala i naradzać się zaczęli, cicho a żywo szepczący.

Po chwili szakal odszedł nieco w głąb lasu i zwoływał kolejno poddanych.

Wkrótce zebrali się wszyscy i stanęli w należytym porządku: mała mysz umieściła się koło kota, czarny kudłaty pies przysiadł tuż obok sękatego kija, za kijem płonął we-

sioło ogień, rozłożony nad samym brzegiem jasnych wód jeziorka, koło wody stanął wielki biały słoń, a u stóp jego na źdźble trawy kołysała się uważnie mała, ciemna mrówka.

Król zasiadł na tronie, wyłożonym miękką murawą, chrząknął trzy razy i rozpoczął sprawę:

— Itklerze!—zawołał z powagą wielką donośnym głosem:—pokaż nam dowody krzywdy, jaką ci uczyniono.

Krawiec oburącz rozwinął szeroko płat ciemnego sukna—i zaświeciło na nim, niby sześć gwiazd, sześć sporych okrągłych dziur: przeglądał przez nie jasny błękit nieba.

— Kto z was to uczynił?—znów zagrzmiał głos króla.

— Mysz! — głośno zawołał Itkler.

— Kot! — pisnęła mysz.

— Pies! — miauknął kot.

— Kij! — warknął pies.

— Ogień! — gruchnął kij.

— Woda! — syknął ogień.

— Słoń! — zaszemrała woda.

— Mrówki! — ryknął słoń.

— Widzi królewska mość! żadne z nich się nie przyzna, nie ma na nich innej rady... trzeba... — resztę szepnął szakal królowi na ucho.

— A więc skoro tak sądzisz, ukarzę ich

za to wszystkich jednocześnie — zawołał król gniewnym głosem.

— Itklerze! — krzyknął gromko: — obwiniasz więc w tej sprawie mysz?

— Tak jest, miłościwy panie.

— Niech więc kot łapie mysz!

I złapał kot mysz i zaczął ją męczyć.

— Mysz obwinia podobno kota?

— Tak, panie — przyduszonym głosem odpowiedziała mysz.

— Huzia! psie, na kota!

Chwycił pies kota za sierść i wpił mu zęby w kark.

— Ty zaś, kocie, obwiniasz psa?

— Tak królu!—boleśnie miauknął kot.

— Kiju! bij psa!

— Ogień to uczynił!—upierał się kij, łupiąc psie boki.

— Wodo! zalej ogień!

— Słoniu! wypij wodę do dna!

— Mrówko! tnij słonia w trąbę! — rzucał szybkie rozkazy oszalały ze złości małpi król.

Szakal zaś cieszył się i chytrze zacierał łapy, iż spokój i zgoda zakłócone zostały między zwierzętami, i teraz w mętnej wodzie łatwiej mu będzie łapać ryby.

Od tej smutnej chwili aż do dnia dzisiejszego trwa ta brzydka niezgoda i wrogość: kot goni za myszą, pies nastaje na kota, mrów-

ka kąsa słonia, ogień spala drzewo, woda zaś gasi ogień.

Widząc opłakane następstwa nieopatrznie wydanego sądu i wyznaczonych kar, zmartwił się i przestraszył król Prob i z wymówką zwrócił się do szakala:

— Śliczne awantury wynikły teraz z twojej łaski! Krawiec miał racyę, ostrzegając mię, bym rad twoich nie słuchał; co teraz czynić, by powrócił dawny ład i spokój w państwie mojem?

Lecz szakal, wesoło pogwizdując, pobiegł w głąb lasu, żadnego szacunku królowi Probowi nie okazując, bowiem za niemądre osądzenie sprawy odjęta mu została władza i prawo pięknego chodzenia na dwóch kończynach dolnych. Nie był to już król Prob, lecz zwykła małpa, chodząca na czworakach.

Wdzięczne zwierzęta i niewdzięczny człowiek.

Pewien ubogi bramin, którego rodzina cierpiała wielką nędzę, udał się w świat szukać pracy i zarobku. Po parodniowej wędrówce doszedł do wielkiego lasu, tu postanowił dłużej odpocząć, by pokrzepić wyczerpane znużeniem siły, Chcąc ugasić dokuczliwe pragnienie, zaczął szukać źródełka jakiego lub strumyka ze świeżą wodą. Niedaleko ujrzał ukrytą śród wysokich traw starą, zmurszałą studnię, pochylił się nad nią i—zamiast wody, na wyschłem jej dnie dojrzał: tygrysa, małpę i człowieka.

Uwięzione w studni zwierzęta spostrzegły go również, dostrzegł go też i człowiek.

Pierwszy odezwał się doń tygrys w te słowa:

— Hola! człowieku, ty, najdoskonalszy

ze stworzeń! pamiętaj, iż litość najpiękniejszą jest cnotą, a nawet nakazanym wam obowiązkiem. Wyciągnij więc mnie z tej strasznej pułapki, bym mógł wrócić do drogiej żony mojej i synów i cieszył się znów z przyjaciółmi memi.

A bramin mu na to:

— Samo imię twoje budzi postrach śród ludzi, jakże więc nie mam i ja obawiać się ciebie?

— Wiesz wszak dobrze, iż dla niewdzięcznych nie ma przebaczenia ani na tym, ani na tamtym świecie. Przysięgam trzykrotnie, jako ci żadnej krzywdy nie uczynię. Miej więc litość nademną i wyciągnij mnie ze studni — nalegał tygrys.

Bramin przypomniał sobie, iż w księdze mądrości powiedziano: — Jeżeli, czyniąc rzecz sprawiedliwą, doznasz złej przygody, to jednak ostatecznie zakończy się ona pomyślnie. I wyciągnął tygrysa żwawo.

Ujrzawszy to, małpa, zaczęła prosić pokornie o takąż przysługę, Lecz bramin jej odpowiedział:

— Nieskromną jesteś i złośliwą, któż mi zaręczy, iż, skoro wyjdziesz ze studni, nie spłatasz mi jakiego nieprzyjemnego figla.

— Nie sądź tak źle o mnie, — zawołała

małpa. — Przysiądz ci mogę, iż tobie, dobrodziejowi memu, nigdy w niczem nie dokuczę!

Wyciągnął więc bramin i małpę.

Wówczas odezwał się i wąż:

— Dobry człecze, pomóż i mnie w tem nieszczęściu!

Lecz bramin odparł mu żywo:

— Nie jest to wszak tajemnicą, iż ludzie i zwierzęta drżą na samo imię twoje, i ja dotknąć się ciebie nie mam odwagi!

— Nie my dajemy złemu początek; kąsamy, broniąc się przed niebezpieczeństwem lub walcząc z nieprzyjacielem. Składam trzykrotną przysięgę, iż z mojej strony nie grozi ci najmniejsze niebezpieczeństwo! — upewniał wąż.

Uwierzył bramin słowom węża i wyciągnął go ze stndni.

Uwolnione zwierzęta podziękowały braminowi i rzekły mu jednogłośnie:

— Człowiek jest siedliskiem wszystkich cnót, lecz zarazem i wszystkich grzechów, zaufać mu niemożna, radzimy ci, pozostaw go na dnie studni!

Tygrys dodał jeszcze: — Tam, na północnym skłonie tego szczytu, śród gęstego listowia znajduje się moja nora. Proszę, zajdź kiedy do mnie, bym się mógł w jaki sposób od-

wdzięczyć się za doznaną przysługę.—I szybko pomknął do swoich.

Małpa też prosiła, by ją odwiedził w jej siedzibie, znajdującej się niedaleko jaskini tygrysiej, w pobliżu wodospadu, i, czyniąc ucieszne skoki, znikła śród drzew.

Wreszcie wąż cichym szeptem zasyczał u stóp bramina, mówiąc:

— Jeżeli grozić ci będzie jakie niebezpieczeństwo, wspomnij tylko o mnie, a jakoś zaradzimy złemu,—i z lekkim szelestem skrył się w trawie.

W końcu odezwał się człowiek: — Hej! braminie, wyzwól i mnie z tej niewoli, jak-eś innych wyzwolił.

Bramin, pomny, iż jest to bliźni jego, któremu zawsze pomódz należy, wyciągnął i człowieka ze studni, ten zaś, odchodząc w swoję stronę, rzekł:

— Jestem złotnikiem z zawodu, mieszkam w pobliskiem mieście, nazywającem się Bhrgukasza, skoro będziesz miał coś nie coś ze złota, przychodź do mnie, może się da co z tego zrobić.

Biedny bramin chodził po okolicy, nigdzie zajęcia i zarobku znaleźć nie mogąc, wreszcie zniechęcony i głodny, postanowił odwiedzić małpę, pamiętając o jej uprzejmych zaprosinach.

Z łatwością wyszukał jej mieszkanie i zastał ją w domu.

Małpa ucieszyła się z odwiedzin i poczęstowała go doskonałemi owocami i orzechami, prosząc, by się raczył dosyta i zabrał zapas na dalszą drogę. Wreszcie zaprowadziła bramina do nory tygrysa, którego też odwiedzić pragnął.

Tygrys poznał zaraz swego dobrodzieja, zaprosił go w głąb nory i tam, na znak swej wdzięczności, ofiarował biednemu braminowi piękny łańcuch i bogate ozdoby ze szczerego złota.

— Niedawno jeszcze — mówił tygrys, — były te klejnoty własnością syna królewskiego. Rozbrykany rumak uniósł go w te uroczyska, w granice moich włości, a że stawiał się panicz hardo i chciał mnie zabić, zamordowałem go, a te jego błyskotki zachowałem dla ciebie. Przyjmij je i idź dalej w spokoju.

Wziął bramin klejnoty i udał się z niemi do złotnika, któremu był uratował życie, mając nadzieję, iż sprzeda mu je korzystnie i z pełną sakiewką powróci do oczekującej nań niecierpliwie rodziny.

Złotnik powitał go uprzejmie, prosił, by spoczął i pokrzepił się sutą wieczerzą, i zapytał, czem mu więcej usłużyć może.

Bramin rzekł:—Przyniosłem złoto i chciałbym je sprzedać.

— Pokaż mi je, niech zobaczę, co warte — odpowiedział przezorny złotnik.

A skoro je ujrzał, poznał wnet, iż były to królewskie klejnoty, a niektóre nawet jego własnego wyrobu. Przypatrywał się im przez chwilę w milczeniu i odrzekł po namyśle:

— Pozwól, iż je pokażę komuś, kto się na nich lepiej pozna i lepiej oceni.

I zaniósł łańcuch i złote ozdoby do dworu królewskiego i samemu królowi je pokazał.

Król spojrzał i wykrzyknął boleśnie:

— To łańcuch mego drogiego syna, skąd go masz?

— W domu moim zatrzymałem bramina, który przyniósł te klejnoty do sprzedania. Rozkaż, panie, a zaprowadzę sługi twe, by go ujęły!

Król, sądząc, iż jest to zbrodniarz, który zamordował mu syna, posłał wnet straże z rozkazem, by bramina pochwycono, zakuto w kajdany i osadzono w ciemnem więzieniu.

Słońce pięknie zachodziło, gdy biedny bramin stanął u okratowanego okna ponurego więzienia. Dumając nad smutnym losem swoim, wspomniał w myśli obietnicę, jaką mu uczynił wąż. Wnet zaszeleściały lekko trawy za kratą i przypełzł wąż, pytając go zcicha:

— W czem ci pomódz mogę, dobry braminie?

— Uwolnij mnie z tych więzów, proszę ciebie!—odrzekł bramin.

— Posłuchaj mnie,—odpowiedział wąż,— oto dziś jeszcze ukąszę i zatruję mym jadem najurodziwszą córę królewską, gdy będzie wychodziła z kąpieli w lotosowej sadzawce, a jad mój nie ustąpi z jej pięknego ciała przed żadnemi lekami; żadne maście, ani zioła, ni czary jej nie pomogą, jeno dotknięcie twojej ręki ją uzdrowi, a skoro ją cudownym sposobem uleczysz, odzyskasz wolność i wrócisz do swoich.

Tegoż jeszcze wieczora powstał płacz i lament w pałacu królewskim. Zwoływano lekarzy z różnych stron kraju, by ratowali i leczyli najurodziwszą córę królewską, którą ukąsił jadowity czarny wąż. Całe zastępy znachorów, zamawiaczy i niepowołanych wróżbitów tłoczyło się u przedsionków, ofiarowując swoje usługi. Probowano wszystkich leków, maści i mikstur, lecz nic nie pomagało; złośliwy jad toczył śliczne ciało królewny.

Heroldzi nawoływali po całem mieście i kraju, by każdy, kto zna jakie lekarstwo lub sposób uleczenia dostojnej chorej, przybywal do pałacu, gdzie zaraz do łoża jej będzie zaprowadzonym i hojnie wynagrodzonym, jeżeli królewnę uzdrowi.

Usłyszawszy wołanie herolda, odezwał się biedny więzień z za kraty błagalnym a donośnym głosem:

— Ja wyleczę królewnę, zaprowadźcie mnie do niej.

Przyprowadzono bramina przed oblicze królewskie, i rzekł mu król:

— Uratuj mi córkę, a daruję ci winy twoje.

Poszli do smutnej, ciemnej komnaty, gdzie spoczywała zatruta wężowym jadem piękna królewna.

Bramin położył rękę na marmurowo zimnem ramieniu chorej, i wraz otworzyły się szeroko jej promienne oczy; usiadła na łożu, wróciły wnet róże na pobladłą twarzyczkę, śliczne usteczka uśmiechnęły się radośnie; była uratowaną, zdrową i szczęśliwą.

Ujrzawszy to, król zwrócił się do bramina z podzięką i szacunkiem, a odprowadziwszy go na stronę, zapytał:

— Powiedz mi teraz prawdę, samą prawdę: w jaki sposób posiadłeś klejnoty mego syna?

Poszedł bramin z królem do pięknej, białej marmurowej sali i opowiedział wszystko, jak było od początku samego, od chwili, gdy wyszedł z domu swego rodzinnego, by szukać pracy i zarobku, aż do ujęcia przez straże,

osadzenia w więzieniu i przybycia wreszcie do pałacu królewskiego, do łoża chorej królewny.

Dowiedziawszy się dokładnie o całym przebiegu tej zawiłej sprawy, rozkazał król, by ukarano niewdzięcznego złotnika, braminowi zaś podarował sto wiosek i dał mu zaszczytny urząd ministra.

Bramin sprowadził żonę swoję i dzieci, i całą ubogą rodzinę do pięknego miasta Bhrgukaszy i zasłynął, jako mądry i szlachetny doradca sprawiedliwego króla.

Gwiazdy Bliźnięta.

(Bajka australijska).

Kiedyś, przed wielu, wielu laty na jednej z pięknych wysp Oceanu Spokojnego, wśród kwiatów, w gorących promieniach południowego słońca, bawiło się nad brzegiem morza ślicznych dwoje dzieci.

Były to bliźnięta, chłopczyk—imieniem Tiki i dziewczynka—Piri.

Małe rodzeństwo kochało się bardzo. Braciszek był napewno zawsze tam, gdzie była siostrzyczka, tak iż mieszkańcy wyspy, widząc dzieci zawsze razem i zawsze zgodnie się bawiące, przezwali je: „nierozłączni".

Bliźnięta spędzały często całe dnie nad oceanem. Tam zbierały śliczne kolorowe muszelki lub kąpały się w morzu, pływając żwawo, dzielnie, jak rybki—a była to ulubiona zabawa wszystkich dzieci tej okolicy—kładły

się wyprostowane na powierzchni wody i, zachowując umiejętnie równowagę, poddawały się ruchowi fal, dążących do brzegu; które z dzieci odrzuciły fale morskie pierwsze na piaszczyste wybrzeże, to dziecko wygrywało najpiękniejsze muszelki lub kwiaty.

Gdy dnie były bardzo upalne, szły dziatki w głąb lasu palmowego; tam braciszek wdrapywał się zwinnie, jak wiewiórka, na drzewo kokosowe, zrywał kilka wielkich orzechow i rozbijał zręcznie ich grubą, włóknami pokrytą skorupę. Wówczas raczono się do syta doskonałem mlekiem kokosowem. Pokrzepione rodzeństwo wędrowało dalej, przypatrując się bacznie i uważnie wszystkim roślinom, kwiatom, owadom, płazom i ptakom. Australijskie bowiem dzieci, choć nie chodzą do szkoły, muszą się też uczyć wielu trudnych rzeczy: uczą się poznawać tajemnice świata przyrody, rozumieć je dokładnie, zbratać się niemal z naturą, by potem zdobywać jej skarby, a unikać niebezpieczeństw.

Chociaż Piri i Tiki wiedli życie — przyznać musimy — bardzo przyjemne, nie były to jednak dzieci zupełnie szczęśliwe: oto miały one macochę, która, choć nie była złą kobietą, nie kochała ich jednak tak serdecznie, jak by to pewnie czyniła rodzona mateczka. Ojciec za to kochał je bardzo.

Pewnego wieczoru, gdy dzieci, znużone całodziennem wędrowaniem, wróciły do chaty, zastały macochę, wybierającą się na rafy koralowe, gdzie w nocy łapać miała ryby przy świetle pochodni. (Drobniutkie mięczaki koralowe, narastając jedne na drugie, tworzą w końcu całe skały—rafy koralowe, pełno ich na wschodnim brzegu Australii i na pobliskich wysepkach; połów ryb jest zwykle koło nich bardzo obfity). Macocha powiedziała pasierbom, iż wróci pewnie bardzo późno i dosyć ostro poleciła im, by szły zaraz spać.

— Chętnie pójdziemy spać, lecz pierwej, prosimy, daj nam, mamo, coś do zjedzenia, gdyż bardzo jesteśmy głodni! — pokornie odrzekł Tiki.

— Nic nie przygotowałam dla was na kolacyę, możecie sobie sami wyszukać jakiego pożywienia!

— Bardzo jesteśmy zmęczeni, droga mamo,—odpowiedziała nieśmiało Piri, — orzechy kokosowe rosną tak wysoko; nie będziemy mieli dość sił, by wejść na drzewo i sięgnąć po nie; nic zaś innego w pobliżu do jedzenia znaleźć nie można—i jest już bardzo późno. Jeżeli będziemy grzeczni i zaraz pójdziemy spać, czy dasz nam za to skosztować choć trochę ryby, skoro wrócisz?

— Wiecie dobrze, iż ryby, które przy-

niosę, nie będą ani pieczone, ani gotowane! No, dalej, usuńcie mi się z drogi i nie zawracajcie głowy waszą wieczerzą!

— Lecz pewnie przyrządzisz, mamo, jaką rybną potrawę dla siebie i dla ojca, obudź więc i nas, prosimy ciebie, i daj nam choć po malutkim kawałeczku. My dziś bardzo, bardzo jesteśmy głodne!—nalegając, prosiły biedne dzieci.

— Może przyrządzę, a może i nie przyrządzę!—mocno już gniewnym głosem krzyknęła macocha. — Dalej z drogi! no! prędzej, dawajcie mi pochodnię i oszczep—i marsz spać!

I poszła macocha łapać ryby na rafach koralowych przy świetle pochodni, a dzieci poszły smutne i głodne w sam kącik chaty, na swoje posłanie z traw morskich i suchych liści palmowych, i, parę razy ciężko westchnąwszy, głęboko zasnęły.

Dobrze już po północy wróciła macocha, niosąc pełen kosz ryb, obudziła męża, i oboje zabrali się do gotowania smacznej wieczerzy. Ojciec, który był powrócił później i rozmowy z dziećmi nie słyszał, domyślił się jednak, iż muszą być głodne, chciał je obudzić i uczęstować smacznemi rybkami, lecz żona odradziła mu, mówiąc, iż obejdą się doskonale bez kolacyi, tembardziej, iż są to mali

nudziarze, którym się wiecznie czegoś zachciewa...

— A więc włóż choć kilka rybek do ich koszyczka, aby, skoro się rano ockną, miały dobre śniadanie,—rzekł dobry ojciec.

Macocha niechętnie wrzuciła kilka ryb do dziecinnego koszyczka i postawiła go koło ich posłania. (Wszyscy w Australii i na pobliskich jej wyspach używają koszyczków plecionych z liści palmowych do przechowywania jedzenia).

Bliźnięta, które się już były dawno przebudziły, słysząc nieżyczliwe słowa macochy, zapłakały cichemi a gorącemi łzami, tuląc się serdecznie do siebie.

Ledwo rodzice usnęli głęboko, Piri szepnęła przez łzy do braciszka:

— Wstawaj, Tiki, ucieknijmy z domu, macocha nas nie kocha!

— Ale ojciec kocha nas i będzie się martwił, gdy uciekniemy,—odpowiedział Tiki.

— Tak, to prawda, ale ojciec rzadko kiedy bywa w domu, a macocha jest ciągle z nami, nie lubi nas wcale, wciąż na nas narzeka i każe nam iść precz,—płacząc mówiła Piri.

— Gdzież się tu ukryjemy? nasza wyspa nie jest dużą,—choć się tu schowamy, zawsze

w końcu znajdą nas,—rozważnie odparł chłopczyk.

— Słyszałam nieraz już, iż przez głębie morskie prowadzi pewna dziwna a jasna droga do jakiejś pięknej, dalekiej krainy. Chodźmy szukać tej drogi i tej krainy! — cichutko wyszeptała dziewczynka.

I wstały dziatki bez szelestu i, zabrawszy swój koszyczek z rybami, wymknęły się z chaty. Noc była piękna i jasna. Ogromny srebrny księżyc płynął spokojnie po ciemnoszafirowem niebie, gwiazdy mocno lśniły.

Poprzez ljany i wielkie pióropusze paproci szły bliźnięta zwolna ku oceanowi. Znużone usiadły wreszcie na piasku i, patrząc na fale, które łagodnie przypadały im prawie do nóg, bryzgając srebrno-białą pianą, zabrały się do jedzenia, tłumiąc ciężkie westchnienia i łzy. Skoro z rybek pozostały tylko ogonki i ości, Piri odezwała się:

— Chodźmy pomiędzy te wystające skały, gdzie woda taka ciemna, może tam jest przejście, prowadzące ku tej ścieżce promienistej...

— Dobrze, chodźmy, znam jednak doskonale te skały, wszak łapaliśmy tam często ryby i raczki i nigdy żadnego tajemniczego przejścia nie widziałem. Pod skałami zaś są wielkie jaskinie i groty, lecz tam przebywają

straszne potwory i smoki—i, gdybyśmy tam weszli, zjadły by nas lub uwięziły na wieki. Łodzi ojcowskiej też wziąć nie możemy, byłoby to rzeczą brzydką i złą; nie podołalibyśmy jej nawet, zbyt jest dużą i ciężką. Gdy skryjemy się w lesie, znajdą nas z pewnością! Co więc robić mamy? — biadały biedne dzieci, chodząc po rafach i szukając owej nieznanej jeszcze drogi.

Wreszcie zniechęcone usiadły na wystającym odłamie skały i rzewnie zapłakały. Łzy ich spływały do zagłębień w twardym kamieniu i utworzyły dwa malutkie, lśniące jeziorka. Blask szedł od nich tak mocny, iż Piri, zdziwiona, szukając przyczyny tego niezwykłego jaśnienia, spojrzała w górę ku firmamentowi i ujrzała nad główką swą śliczną promieniejącą gwiazdę. Naraz wykrzyknęła wesoło:

— Już wiem, już wiem, polecimy wysoko, wysoko, aż do nieba, tam nie będziemy już przeszkadzali naszej macosze i będziemy mogli zwysoka widzieć naszego drogiego tatusia!

— I ja chcę z tobą iść do nieba, — zawołał Tiki i uczuł się bardzo szczęśliwym, iż podążą do krainy szczęśliwości, gdzie, według wiary mieszkańców wyspy, przebywać mieli wszyscy bohaterowie, wodzowie sławni i wiel-

cy królowie, zkąd też słać mieli na ziemię opiekę swą nad pozostałymi tam poddanymi i sprawować nad nimi rządy.

— Ach, jak pięknym jest szafir nieba,— mówiła w zachwycie mała Piri.—Patrz! coraz więcej gwiazdek widać, im się dłużej patrzy w niebo; może te gwiazdki—to są dzieci, które dążą na nasze spotkanie, a może i my staniemy się takiemi gwiazdkami! Lecz prosić będę, gdy będziemy już tam w górze, byśmy byli zawsze blisko siebie: nie chciałabym być nawet w niebie zdaleka od ciebie!

Chłopiec, głęboko zamyślony, patrząc w górę, podszedł do siostrzyczki i rzekł poważnie:

— Ujmij mię mocno za pas, droga Piri, za chwilę skoczymy razem do nieba.—I, patrząc prosto w gwiazdy, dzieci odbiły się mocno od ziemi, skoczyły w górę i... jak piękna ta bajka australijska głosi, poleciały do nieba. Tam bogowie, wzruszeni losem kochającego się rodzeństwa, zamienili je w śliczne gwiazdy Bliźnięta. Odtąd wędrują one po niebie i będą tak wędrowały aż do końca świata.

* * *

Na ziemi tymczasem, na pięknej wyspie, dzień był już duży, gdy rodzice małych bliź-

niąt, obudziwszy się, spostrzegli, iż posłanie z traw morskich i mchu jest puste i że dzieci zapewne już bardzo dawno wyszły z chaty.

Macocha żałowała w duszy swych ostrych słów i szorstkiego z pasierbami obejścia i, mocno zatrwożona, poszła wraz z mężem szukać dzielnego Tiki i słodkiej Piri. Obszukali wyspę całą nadaremnie; nad wieczorem przyszli na skały nabrzeżna, gdzie zeszłej nocy odpoczywały dzieci, i tam znaleźli pusty ich koszyczek i resztki rybek. Tu kończyły się wszelkie ślady pobytu bliźniąt i pozostawione znaki ich drobnych stópek.

Ciemniało już, i na wystającej skale, w zagłębieniach twardego kamienia błysnęły nagle dwa malutkie jeziorka. Macocha odgadła, iż były to jasne łzy jej pasierbów i sama wybuchnęła przeciągłym płaczem. A były to łzy gorzkie bardzo, łzy wyrzutów sumienia za krzywdę, niewinnym wyrządzoną. Noc już zapadła, gdy rodzice wracali znękani do chaty, mając jeszcze trochę nadziei, iż może głód i zapadające ciemności nakłonią dzieci do powrotu. Nadzieja była płonną, w chatce bowiem nie było nikogo.

Ojciec przystanął jeszcze na progu i wytężał bystro swój wzrok, pragnąc dojrzeć w gęstym mroku drobne, kochane postaci,

lecz, niestety! wokoło była pustka, ciemności i cisza zupełna. Zrozpaczony spojrzał wreszcie w niebo, szukając tam opieki i zmiłowania, i wykrzyknął naraz radośnie:

— Moje dzieci! O, moje drogie dziatki!... Mój dzielny Tiki i moja słodka Piri!

Na ciemnym szafirze nieba nad samą jego głową lśniły mocno tuż obok siebie, dwie jasne gwiazdki. Serce ojcowskie odczuło, iż są to dzieci jego kochane.

Pełen szczęścia i radości zawołał żonę i, wskazując jej gwiazdy, które zdawały się doń mrugać wesołem błyskaniem, rzekł:

— Oto są dzieci nasze, i my podążymy za nimi do nieba!

I ująwszy silnie żonę za rękę, odbił się mocno od ziemi i oboje skoczyli w górę i... (jak piękna australijska bajka głosi) pomknęli wysoko w przestwory..,

Skoro gwiazdki spostrzegły, iż rodzice dążą ku nim, przestraszyły się mocno, gdyż zasmakowały już one w życiu niebieskiem i żal im było wracać na ziemię; myślały bowiem, iż macocha zechce zabrać je znów do chaty,

Piri zawołała do braciszka:

— Drogi Tiki! lećmy dalej, zejdźmy macosze z drogi, jak nam to zawsze na ziemi przykazywała! — I gwiazdki szybko pomknęły po cudnym szafirze niebios.

Rodzice zaś, których litościwi i przebaczający bogowie również zamienili w gwiazdy większych rozmiarów, gonić zaczęły gwiazdki Bliżnięta. I gonić się one tak będą aż do końca świata.

A gdy w letnią noc jasną spojrzycie w niebo i wyszukacie na niem konstellacyę tak zwaną „Skorpijona“, ujrzycie dwie duże gwiazdy, dążące w pewnem oddaleniu od dwóch maleńkich gwiazdek Bliźniąt. Od wieków już i po przez wieki dążyć one tak będą za sobą, nigdy się jednak spotkać nie będą mogły.

Lew skrzydlaty.

(Bajka afrykańska).

Była pewnego razu bardzo mądra królewna, imieniem Kwiatróżany. Ojciec i bracia nazywali ją zdrobniale: Różyczka.

Mądrość Różyczki znaną była w całym kraju, przybywano do niej z dalekich stron po radę i naukę.

Znała ona wszelkie zioła i rośliny lecznicze, warzyła z nich napoje, które uzdrawiały chorych, wiedziała, jakie ziarna wydadzą najbogatszy plon, przepowiadała zmiany pogody, uprzedzała o zbliżającej się burzy, zrozumiała mowę zwierząt, znała bieg gwiazd i wiele innych tajemnic, ukrytych przed oczyma ludzi, były dla niej całkiem jasnemi. Wiedząc tyle rzeczy, nie wiedziała jednak, w jaki sposób uwolnić kraj swój od strasznego potwora—lwa skrzydlatego, który zmorą był

i postrachem całej ludności i wciąż liczne zabierał ofiary wśród ludzi i zwierząt.

Osiadł on na niedalekich wzgórzach, gdzie zbudował sobie szałas z białych kości mnogich swoich ofiar, a nieubłagany w swem okrucieństwie, wciąż na nowe czychał łupy, Codziennie słychać było po chatach płacze i lamenty, codziennie porywał on, kogo się zdarzyło; spadał z góry, jak piorun, na swych wielkich skrzydłach i chwytał dzieci, jeżeli niebacznie oddaliły się w głąb lasu, zbierając jagody, — porywał młode dziewczęta, gdy w strumieniu prały bieliznę; nie uchodziły strasznych jego szponów i starsze niewiasty, a nieraz i młodzian, gdy broń zawiodła lub nie dość rączego miał rumaka, padał jego ofiarą.

Dobrą i mądrą królewnę nękała mocno myśl o lwie skrzydlatym, czułe serce i mądra główka szukały wciąż rady i sposobu pozbycia się potwora, który groził życiu i spokojowi całej ludności. Pełna smutku i współczucia, rzekła pewnego razu do ojca swego

— Ten lew skrzydlaty—to czarna chmura, pełna grozy, wciąż nad nami wisząca. Czy wiesz, ojcze, iż niewiasty nasze i dzieci, opuszczając chaty swoje, gdy idą w pole na żniwa lub do źródła po wodę, nie wiedzą, czy wró-

cą cało do domu, potwór bowiem czycha bacznie i spada niespodzianie, jak grom.

— Nie myśl tak ciągle o tym lwie, — odparł trochę niechętnie król, — nie jest to sprawa kobieca, i niewieścia głowa temu nie zaradzi.

Nie miał on tak wielkiego przekonania o mądrości swej córki, jak jego poddani; uważał nawet, iż dworzanie przeceniają zbytnio rozum i władzę Różyczki, napełniając jej piękną młodą główkę niepotrzebną ambicyą i dumą.

Było to jednak niesłusznem. Różyczka zbyt była rozsądną i pokorną duchem, by mogła być zarozumiałą, starała się jedynie o to, aby stawać się coraz lepszą i mądrzejszą, i nieść pomoc innym, o ile to będzie w jej mocy.

Następnego ranka poszła królewna Róża do lasu zbierać zioła i korzonki. Oddaliwszy się nieco od panien dworskich, weszła na kwiecistą małą polankę i tu ze zdziwieniem ujrzała piękną białą niewiastę, siedzącą u stóp wielkiego drzewa bawełnianego.

Kobieta owa dorodną była i urodziwą, miała włosy promienne, złote, okrywała ją długa biała szata.

— Zkąd przybywasz i kim jesteś? — ni-

gdy cię jeszcze nie widziałam! — żywo zawołała Różyczka.

— Zawsze byłam, jestem i będę z tobą, choć dotychczas widzieć mnie nie mogłaś, — odpowiedziała słodkim głosem niewiasta, — ja to szeptałam ci do ucha wszystkie tajemnice ziemi i nieba, ja to uczyłam ciebie mowy zwierząt, wskazywałam zioła cudowne, co ludzkie cierpienia uśmierzają, mówiłam ci też nieraz, jakiemi drogami jasne gwiazdy dążą po przestworze niebios. Jestem wróżką, nazywam się Saissa, a drzewo to jest mojem mieszkaniem. Chodź ze mną, obejrzysz moje pokoje.

Róża chętnie się zgodziła i wraz z wróżką przez ukryte w korze drzwiczki weszły w głąb pnia drzewa bawełnianego. Stąpając po miękkich kobiercach, usłanych ze szmaragdowego mchu, wstąpiły w progi wielkiej sali: tu po ścianach pięły się kwiaty najpiękniejsze, w każdym kielichu, na każdym pąku siedział połyskujący robaczek świętojański, u stropu unosił się liczny korowód świetlików i blask szedł od nich z góry jasny, księżycowy, przepiękny...

— Spocznij, proszę! — rzekła uprzejmie wróżka, wskazując wonne posłanie z listków róży,—jesteśmy dawnemi przyjaciółkami, wyjawiłam ci niemal wszystkie moje tajemnice,

powiedz mi więc szczerze, czego teraz pragniesz najgoręcej, a chętnie usłużę ci radą lub pomocą.

Różyczka drgnęła radośnie i żywo bez namysłu zawołała:

— Powiedz mi, co mam uczynić, by poskromić i zmódz lwa skrzydlatego?

Po chwili poważnej zadumy, Saissa słodkim i cichym głosem zaczęła w te słowa:

— Przyznać muszę, iż prośba twoja jest bardzo trudną do spełnienia, i zadanie to przechodzi niemal twoje siły; skoro jednak zgodzisz się pozostać tu ze mną całe trzy miesiące i będziesz bardzo pilną, może los i moja opieka dopomogą ci w spełnieniu tego ciężkiego zadania.

— Więc mam tu zostać trzy miesiące?

— Tak, pierwszy miesiąc tkać będziesz sukienkę niewidkę, iżbyś, wdziawszy ją potem, stanąć mogła bezpiecznie nawet wobec lwa; następne dwa miesiące pracować musisz pilnie nad wyuczeniem się dokładnem mowy: żab, wron i kruków, są to bowiem najtrudniejsze języki ze wszystkiej gwary zwierzęcej,—a po tem przystąpisz do czynu.

— Zaczynam teraz rozumieć, jak ciężka i trudna czeka mnie praca, lecz nie cofam się przed nią, — rzekła dzielna królewna. — Czy mogę jednak wrócić do pałacu, by uprze-

dzić ojca mego, iż zostanę tu z tobą całe sto dni?

Dobra wróżka zaprzeczyła ruchem swej złotej głowy.

— Miejsce twego pobytu musi pozostać tajemnicą, inaczej lew skrzydlaty dowie się o wszystkiem, i cały twój trud będzie zmarnowany.

— Skoro tak, więc pozostaję, gdyż mam całą ufność w twoję pomoc i naukę, również we własną pilność; wierzę przeto, iż wszystko pomyślnie się zakończy, — odpowiedziała Róża i, nie odkładając na dzień następny, zabrała się zaraz do pracy.

Skoro noc nadeszła a Różyczka nie wracała do pałacu, przestrach ogarnął króla i dwór cały. Rozesłano więc licznych gońców i zbrojne straże na poszukiwanie królewny. Wszelkie jednak starania były nadaremne, Różyczki nigdzie nie znaleziono. Opłakiwał ją król, królewicze, dwór i ludność całego kraju, sądzono bowiem, iż pożartą została przez lwa skrzydlatego.

Tymczasem mądra królewna tkała pilnie drobnemi paluszkami sukienkę niewidkę, a gdy ją wreszcie ukończyła, uczyła się pilnie trudnej mowy kruków, wron i żab.

Trzymiesięczna praca dobiegała kresu, gdy pewnego jasnego poranku dobra wróżka

Saissa kazała Różyczce iść w sukience niewidce, która czyniła ją niewidzialną, do lasu, i tam podsłuchać rozmowy wron i kruków, zgromadzonych tego ranka w dużej ilości na pobliskich daktylowych palmach.

Różyczka narzuciła na zwykłe swe ubranie sukienkę niewidkę, a uwiwszy świeży wianuszek z czerwonych róż na swą czarną kędzierzawą główkę, jaki zawsze nosiła na znak swego imienia, posłuszna i cicha, poszła w głąb lasu.

Zdaleka już dochodził ją gwar ptasi. Podeszła bliżej, oparła się o wysmukły pień palmowy i słuchała uważnie. Wrony i kruki nie widziały jej wcale i dalej żywą wiodły gawędkę.

— Wiem ja dobrze, iż wszystka jego moc zawarta w tych ogromnych skrzydłach, białe kruki wiedzą coś o tej tajemnej sile, ale im mówić nie wolno.

— Tak, tak! macie racyę, dwa białe kruki pilnują zawsze, gdy on wyrusza na łowy, tych wyschłych białych piszczeli i kości, których wielki stos leży koło jego szałasu, a żadnej kosteczki ani poruszyć, ani nadłamać nie wolno.

— Jakież to kości?—skrzeczącym głosem spytała dalej siedząca stara wrona; przygłu-

cha była ona trochę i niebardzo dowierzała opowiadaniom młodszych towarzyszek.

— Są to kości zwierząt i ludzi, które rozszarpał lub pożarł lew skrzydlaty. Z większych piszczeli zbudował sobie szałas, a reszta leży złożona w wielki stos. Szałas ten znajduje się w zachodniej stronie, tam, gdzie słońce chowa się za wielki las palmowy. Byłam tam właśnie niedawno, — kryguając się i prostując swe czarne, lśniące skrzydełka, szczebiotała z dumą wielką młoda wrona.

— Muszę tam iść coprędzej, może dowiem się wreszcie o czemś ważnem i tajemnem, o czemś, co mi dopomoże w spełnieniu mego wielkiego zadania, — pomyślała królewna i zaraz zamiar swój w czyn zamieniła.

Dążąc ku zachodowi, szła Różyczka gęstym, dziewiczym lasem, przedzierała się śmiało przez kolące, ostre krzewy; wiotkie pnącze omotywały jej drobne nóżki, tak, iż nieraz padała na bujne pióropusze paproci, wnet się jednak raźno podnosiła i szła dalej; tam znowu zagradzały jej drogę wielkie powalone pnie palmowe; wtedy zręcznie przechodziła pod niemi lub wspinała się po nich, niby po schodach, i kroczyła odważnie dalej, coraz dalej...

Gdy spotykała antylopy, małpy, węże

lub ptaki, pytała je uprzejmie o drogę i wnet otrzymywała również uprzejmą odpowiedź.

Zwierzęta dziwiły się bardzo, iż tak nagle zjawiała się ta piękna panienka, w wieńcu czerwonych róż na kędzierzawej czarnej główce, w złotych obręczach na rączkach i nóżkach, i równie nagle znikała.

Różyczka bowiem, rozmawiając z uprzejmemi zwierzętami, zdejmowała szybko swą sukienkę niewidkę i stawała w zwykłej swej szacie i z wianuszkiem róż na głowie, idąc zaś w dalszą drogę, wdziewała ją znów i nikła wtedy nagle z przed ździwionych oczu życzliwych zwierzątek.

Po ciężkich trudach dalekiej podróży doszła pewnego dnia do strasznego miejsca, gdzie stał szałas okrutnego potwora.

Dwa wielkie białe kruki krążyły nad ponurym namiotem, zbudowanym z białych, nagich piszczeli, u progu wznosił się wielki stos bielejących kości.

Kruki od czasu do czasu siadały na pobliskich wyschłych drzewach i zamieniały po parę słów przyciszonej rozmowy.

— Jedynem stworzeniem, które coś niecoś wie o tajemnej mocy jego skrzydeł, jest wielka zielona żaba z ciemnego stawu,—krakał z cicha jeden z kruków.

Drugi zaś przeskoczył na bliższe gałę-

zie i, pochylając głowę ku towarzyszowi, odpowiedział przyciszonym głosem: „Tak, tak, lecz żaba mówi wszystkim, iż ma prawo wyjawić tę tajemnicę tylko jakiejś młodej królewnie, która przyjdzie ze wschodu w wieńcu czerwonych róż na głowie, a na jej rękach i nogach będą połyskiwały złote okowy“.

Usłyszawszy to Różyczka, ucieszyła się niezmiernie, była bowiem i młodą, i królewną, na głowie kraśniał jej wieniec różany, na rękach i nogach lśniły złote obręcze, a szła od strony, gdzie słońce wschodzi.

Prędko pobiegła ku ciemnemu stawowi i tam nad brzegiem ciemno-modrej wody ujrzała wygrzewającą się w promieniach jasnego słońca ogromną żabę.

Żaba była olbrzymią, długość jej sięgała pewnie trzech, a szerokość dwóch stóp; koloru była jaskrawo-zielonego, pierś miała białą, a oczy złociste.

Królewna odważną była i rycerską, śmiało więc zrzuciła sukienkę niewidkę; w krasie swej młodości i dobroci, z wieńcem róż na głowie, stanęła przed żabim olbrzymem i dźwięcznym dziewczęcym głosem i zrozumiałą dla żaby mową wypowiedziała swą prośbę gorącą.

— Ho, ho! skoro lew skrzydlaty tak bar-

dzo się rozzuchwalił i tyle wam robi krzywdy, nadszedł już czas, by go poskromić, — poważnie odrzekł żabi król.

— Czy zdołam jednak to uczynić? — trwożliwie nieco spytała królewna.

— Znam tajèmnicę i sposób zniszczenia wszystkiej siły jego skrzydeł, należy jedynie połamać wszystkie kości ofiar jego, które nagromadził koło swego legowiska; skoro każda z nich przełamaną zostanie — utraci on sztukę i możność latania, odpadną mu bowiem skrzydła!

— Czy będziesz dość miłościwym, Żabi królu, by mi pomódz w tej pracy? — spytała dobra i mądra królewna.

— Bardzo chętnie,—odpowiedziała żaba i w żwawych podskokach podążyła za Różyczką do kościanego szałasu.

Tam pilnie zabrały się do dzieła; łamały i druzgotały każdą piszczel, kość i kosteczkę tak, iż wkrótce zostały tylko drobne, białe okruchy; niby śniegiem, zasypały całą murawę.

Gdy robota skończoną została, rzekła żaba do kruków białych:

— Powiedzcie panu waszemu, gdy powróci, iż, jeśli zechce mnie widzieć, to niech się pofatyguje na drugą stronę ciemnego stawu, będę tam bawił przez cały wieczór!

Niezadługo potem, przedzierając się przez kolczaste krzewy i rycząc wściekle, dążył lew do legowiska swego i zdaleka wołał na kruki z wściekłością:

— Gdzie jesteście! coście zrobiły, iż latać nie mogę?!

— My—nic, lecz była tu królewna Różyczka z żabim królem i połamali wszystkie kości i kosteczki, a żabi król kazał ci powiedzieć, iż jeśli chcesz z nim pomówić, to przyjdź wieczorem do Ciemnego Stawu!

Lew ryknął z taką mocą, iż ziemia zadrżała wokoło, i rzucił się ku stawowi, gdzie w promieniach zachodzącego słońca wygrzewała się wielka, zielona żaba, bacznie przymykając złote oczy.

Skoro lew był już blisko, Żabi król dał tęgiego susa do wody, a nurkując znakomicie, po chwili był już daleko, i lwie pazury dosięgnąć go nie mogły.

Wściekłe i upokorzone w swej niemocy lwisko, tłukąc ogonem po zapadłych bokach, skrył się w ciemnej jaskini skalnej. Od tej chwili wszystkie lwy latające utraciły skrzydła i chodzą teraz po ziemi na czterech łapach, jak inne czworonogie zwierzęta.

Żabi król tak się zachwycił pięknością i mądrością królewny Różyczki, iż prosił ją na klęczkach, by została jego żoną.

Różyczka podziękowała mu uprzejmie, zostać jednak w Ciemnym Stawie nie chciała; spieszno jej było do ojca i braci, którzy wciąż w smutku i rozpaczy opłakiwali ją, jako już nazawsze straconą.

Można sobie wyobrazić radość króla i królewiczów, gdy Różyczka, zdrowa i wesoła, wróciła do pałacu. Skoro lud i poddani dowiedzieli się o radosnym powrocie ukochanej królewny i poskromieniu skrzydlatego lwa, szczęście ich nie miało granic. Weselono się hucznie w każdej chacie i śpiewano piękne pieśni, ułożone na cześć królewny Różyczki, wybawicielki ludu.

Przyjaciele.

(Bajka indyjska).

Trzej wierni przyjaciele: żółw Mantharaka, mysz Hiranyaka i kruk, imieniem Laghupatanaka, wiedli pewnego cichego wieczoru bardzo ciekawą i poważną rozmowę. Wpobliżu lekko szemrał wartko płynący strumień.

Mówili o życiu, jego przeznaczeniu i obowiązkach każdego stworzenia. Wygłoszone były następujące zdania:

„Marną jest odwaga, gdy nie użyta na obronę uciemiężonych“.

„Co warte pieniądze, jeśli nie służą na wspomożenie potrzebujących“, a także:

„Jakże pustem jest życie, gdy płynie bezcelowo“.

Mądry Mantharaka miał coś mówić jeszcze, lecz przerwała mu młoda gazela, imieniem

Citranga, która wypadła z zarośli, jak strzała, uciekając przed pościgiem myśliwych i poganiaczy.

Żółw przycichł, a mysz i kruk ukryli się przezornie z przed oczu dyszącej ze znużenia pięknej gazeli.

Kruk podleciał nieco w górę i, bystro obejrzawszy okolicę, zawołał:

— Chodźcie, przyjaciele, nic nam złego nie grozi, — do Citrangi zaś odezwał się uprzejmie:

— Woda tutejsza doskonałą jest w smaku, a i kąpiel rzeczna dobrze ci zrobi po takiem zmęczeniu.

Citranga popatrzyła na wszystkie trzy zwierzęta swemi pięknemi smętnemi oczyma i poznała wnet, iż niesłuszną by tu była wszelka obawa lub niedowierzanie. Odezwała się więc:

— O, gdybyście wiedzieli, jak ciężko mi żyć w ciągłej obawie i baczności przed wiecznym pościgiem myśliwych, poganiaczy i kłusowników, przyjęlibyście i mnie do waszego trójprzymierza!

Mantharaka odpowiedział po chwili namysłu:

— My jesteśmy drobnemi stworzonkami tylko, nie przystoi tobie, tak pięknej i dorodnej,

przyjaźnić się z nami. Korzyści też żadnej przyjaźń nasza przynieść ci nie może.

— Wolałabym biedować z mądremi, niż biesiadować z głupcami, nie tylko też śród silnych i możnych druhów szukać należy. Czy nie wiecie, jak to drobne myszy uwolniły z więzów całe stado ogromnych słoni?

— Jakże to było—opowiedz nam—prosimy bardzo!—wykrzyknęły zwierzęta.

Citranga zaczęła swą opowieść:

— Przed wielu, wielu laty, był pewien dziwny kraj, nie było tam ani ludzi, ani domów, ani świątyń, mieszkały tam tylko w norach podziemnych—myszy, setki, tysiące, miliony myszy. Jadły one, piły i nic nie robiły, tylko się mnożyły. Tak upływały im szczęśliwie dni, miesiące, lata i stulecia.

Aż oto pewnemu księciu, słoniowemu wodzowi wielkiej gromady słoni, zamarzyło się spróbować, jak też smakuje woda z dalekiego szafirowego jeziora.

Wyruszył też zaraz w podróż w otoczeniu licznego swego stada. Droga do jeziora wiodła właśnie przez krainę, zamieszkałą przez myszy.

Wielkie słonie deptały i gniotły na miazgę setki i tysiące biednych myszy. Niektóre myszki miały przydeptane ogonki, inne—spraszczone mordeczki, inne jeszcze przygięte

karczki, lecz większość leżała martwa, zdeptana i zrównana z ziemią.

Pozostałe przy życiu gryzonie zebrały się w smutku i trwodze na wielką naradę, a następnie wysłały do księcia słoni poselstwo z pokorną prośbą, by, wracając z wycieczki do szafirowego jeziora w strony swoje rodzinne, wybrał inną drogę powrotną, gdyż powtórne przejście słoni przez mysią dolinę wytępiłoby doszczętnie ród małych gryzoniów.

— Błagamy ciebie, panie, o litość i obiecujemy, iż, jeśli kiedy los pozwoli nam odwdzięczyć się za doznaną łaskę i względy, uczynimy to ze szczęściem i żywą gotowością,—prosiły księcia szczury, myszy i myszki.

Książę usłuchał prośby i skierował swój orszak innemi szlakami, mówiąc do starszych poważniejszych słoni:

— Maluczcy też pożytecznymi być potrafią.

W tymże czasie pewien król indyjski kazał, by zarządzono wielkie łowy i pochwycono dużo słoni, zdatnych do szyku bojowego, bowiem miał prowadzić wojnę.

Wkrótce ujęto w sidła i więzy całą gromadę słoni, wracających z nad szafirowego jeziora wraz z ich księciem-wodzem.

Skrępowane i przywiązane do wielkich

pni palmowych biedne słonie biadać poczęły, nie widząc już dla siebie żadnego ratunku.

Wówczas książe ich i wódz przypomniał sobie obietnicę, jaką mu uczyniły myszy, i cicho wydał rozkaz młodemu słonięciu, które uniknęło więzów ze względu na swój wiek młodociany, by coprędzej udało się ze smutną wieścią do mysiej gromady, przypominając daną obietnicę i prosząc o pomoc.

Skoro noc nadeszła i znużeni myśliwi odeszli, a straże usnęły, nadciągnęły całe setki, całe tysiące mysich zastępów i raźnie a szybko gryźć i przygryzać zaczęły więzy i sznury, krępujące księcia słoni i liczny jego orszak.

Pracowały tak żwawo i gorliwie, iż zanim brzask niebo zaróżowił, opadły więzy, i słonie szczęśliwie umknęły rąk ciemiężców.

— Mówię więc—dodała kończąc swą opowieść Citranga—iż przyjaźń wielkim jest skarbem, który cenić należy, i powtórnie proszę, byście mię przyjęli do waszego grona!

— Skoro tak bardzo tego pragniesz—rzekł poważnie Mantharaka — więc zgoda! Od tej chwili nasz dom jest twoim domem, rozgość się i bądź tu, jak u siebie.

I żyły dobre zwierzęta w zgodzie i spokoju przez dłuższy czas.

Któregoś wieczora, gdy słońce już miało

się ku zachodowi, a Citranga jeszcze nie wracała, zaniepokoili się przyjaciele.

Laghupatanaka poleciał na zwiady i wkrótce dostrzegł biedną gazelę, śród gęstych zarośli zaplątaną w sieci.

Uspokoił ją życzliwemi słowami, krzepiąc jej ducha, i pośpieszył przywołać Hiranyakę, która ostremi ząbkami napewno rozgryzie więzy przyjaciółki.

Oczywiście, wnet przybyła usłużna mysz i zdaleka już rozpytywać zaczęła Citrangę jak się to stało, iż ona, tak zawsze rozważna i ostrożna, nie uniknęła tej przez myśliwego tak chytrze zastawionej sieci.

— Przyjaciółko droga! po co te niepotrzebne pytania i ubolewania, wiesz dobrze, iż los każdego od czasu do czasu doświadczać musi. Skoro jednak chcesz, opowiem ci różne moje przygody, podczas gdy ty, wierna naszej przyjaźni, przygryzać będziesz krępujące mię sznury:

— Gdy byłam bardzo młodą, dziecięciem nieledwie, wybiegałam zawsze pierwsza w las, wyprzedzając całe nasze stado, za co często otrzymywałam napomnienia i naganę od starszych.

Muszę tu dodać, iż my, gazele, kozy górskie i antylopy, używamy w biegu dwu ro-

dzajów skoku: 1) skok posuwisto rączy naprzód i 2) skok z odbiciem wysoko w górę.

Wówczas, gdy mię spotkało nieszczęście, znałam tylko skok rączy po równinie — naprzód, skoku w górę z odbiciem nie umiałam jeszcze.

Pewnego razu, na wspólnej licznej wycieczce, wesoło podskakując, wyprzedziłam znów o staje całe koźle towarzystwo, oglądam się wreszcie przed siebie i ze ździwieniem nie widzę nikogo, przed sobą zaś dostrzegam jakąś dziwnie wielką i grubą pajęczynę, a za nią wszystkie moje towarzyszki!

Doświadczone już w różnych próbach życia, poznały się one na zasadce, a jako umiejętne gimnastyczki, dały potężnego susa i przesadziły sieć.

Ja zaś, nie umiejąc dokazać tej sztuki i nie rozumiejąc grożącego niebezpieczeństwa, wplątałam się w sidła i pochwyconą zostałam przez strzelca królewskiego.

Człowiek ten ulitował się młodości mojej i, zamiast mię zabić, darował, jako żywą zabawkę, małemu królewiczowi.

W pałacu wykąpano mnie, uperfumowano, zawiązano piękną wstążkę na szyi, nakarmiono wykwintnemi potrawami. I zaczęły się moje dni smutku, tęsknoty i niewoli.

Kiedyś pod wieczór zerwał się wicher,

huczały gromy i deszcz siekł rzęsisty, tęsknota szarpała mi duszę, a gdy, umęczona niemiłemi pieszczotami i głaskaniem kobiet dworskich, ułożyłam się u stóp młodego królewicza, bezwiednie niemal wyrzekłam następujące słowa: „Ach! kiedyż dozwolonem mi będzie mknąć śród wichru i burzy wraz ze stadem drogich moich gazel?“

Prócz królewicza i mnie, u stóp jego leżącej, nikogo nie było w komnacie. Zerwał się więc przerażony, usłyszawszy słowa moje i uciekł, sądząc, iż ucieka przed złą jakąś siłą.

Strach, którego doznał, wywołał ciężką chorobę. Mnie zaś, jako iż byłam winną słabości królewskiego syna, bito, męczono i głodzono dotkliwie.

Różni mędrcy, lekarze i wróżbici dawali rady, które uleczyć miały królewicza. Wszystkie leki nic jednak nie pomagały.

Aż oto pewien nabożny i mądry bramin rzekł królewiczowi:

— Dlaczego bijecie i dręczycie tę młodą gazelę, która w tęsknocie za swobodą i rodziną wyrzekła niebacznie ludzkim głosem następujące słowa: „Ach, kiedyż dozwolonem mi będzie mknąć śród wichru i burzy wraz ze stadem drogich moich gazel!“ Nie działała tu żadna zła siła, jeno tęsknota do wolności.

Wróć jej tę wolność, dobry królewiczu, a choroba opuści cię bezpowrotnie.

Usłuchał mądrej rady dobry królewicz, kazał mię wykąpać, nakarmić, napoić i wypuścić do lasu na wolność.

I znów żyłam szczęśliwa i swobodna. Aż oto popadłam w niedolę, z której ratujecie mnie, drodzy przyjaciele! Widzę bowiem, iż i żółw tu przybywa.

Hiranyaka zatrwożyła się bardzo przyjściem Manthanaki i rzekła mu:

— Nierozważnie uczyniłeś, drogi przyjacielu, przybywając tutaj. Ciężka tarcza, którą dźwigasz na plecach, utrudnia twoje ruchy i nie zdążysz uciec, gdy przyjdzie ku temu nagła potrzeba. Gdy przegryzę wszystkie sznurki, a myśliwy się zbliży, Citranga umknie żywo, jak strzała, Laghupatanaka poleci wysoko ponad drzewa, moję zaś marną postać skryje lada kępka trawy, ale co poczniesz wówczas ty, biedaku?

— Nie nastraszysz mnie, miła Hiranyako! Wolę bowiem utracić życie, niż opuścić druhów w ciężkiej chwili — odparł szlachetny Mantharaka.

Zaledwie to wypowiedział, aż oto ukazał się wdali myśliwy, który szedł zabrać pojmaną w sieć zwierzynę.

Widząc zbliżającego się człowieka, mysz

szybko przegryzła ostatni węzeł konopny, i gazela pomknęła co tchu w zarośla. Kruk uniósł się w przestwor niebieski, a uczynna myszka szybko skryła się do kreciej nory.

Myśliwy stanął, jak wryty, z podziwu, a gniew wzbierał mu w duszy. Nietylko przepadła mu piękna zdobycz, lecz i sieć zmarnowana długiej wymagać będzie naprawy.

Wtem dostrzegł dużego żółwia, który zwolna posuwał się w trawie. W braku więc lepszego łupu postanowił nie gardzić i tą gratką. Urwał kilku giętkich wici i bujnych pnączy, skręcił z nich sznur i, skrępowawszy nim żółwiowi nogi, przerzucił go sobie na plecy i poszedł prosto przed siebie.

Hiranyaka, widząc, co się dzieje, ostrym piszczącym głosikiem wołać zaczęła:

— Biada! biada! biada!!

Citranga i Laghupatanaka przybyli zaraz i uderzyli również w lament i płacz wielki.

Wtem Hiranyaka, powstrzymawszy łzy, rzekła:

— Dopókąd Mantharaka nie zniknie nam całkiem z przed oczu, jest zawsze nadzieja wybawienia go z niewoli, więc dalej do czynu! porzućmy lament wszelki. Ty, Citrango, uskocz kawał drogi, a kryjąc się śród zarośli, zabiegnij myśliwemu drogę, bacząc, by cię przedtem nie dostrzegł, i padnij gdzie blizko

wody, udając martwą. Ty zaś, Langhupatanako, usiądź na bujnych gałęziach jej rogów i pochylaj się wciąż nad jej zamkniętemi oczami, rytmicznie, by myśliwy, gdy to dostrzeże, sądził, iż, dopadłszy ścierwa, wydłubujesz łakomie martwe ślepia.

Przypuszczam, iż dalej sprawa nasza sama się rozwinie. Rachuję na to, że chciwość, tak częsta u ludzi wada, i tu weźmie górę, i nasz myśliwy porzuci małego żywego żółwia, by zabrać dorodną, choć nieżywą, kozę. Jeśli się stanie tak, jak mniemam, pośpieszę wtedy wnet na pomoc Mantharace, przegryzę krępujący jego nogi sznur, a on z łatwością skryje się w poblizkiej wodzie, gdzie już oczy człowieka go nie wytropią.

Nie potrzebuję chyba dodawać, iż Citranga nie da się ująć myśliwemu, lecz ożyje nagle w jego oczach i umknie co sił starczy, Langhupatanaka poleci na ulubione swoje drzewo palmowe,—o sobie nie mówię, dam sobie radę z pewnością. A więc—dalej, gotujmy się do czynu!

Jakoż wszystko tak się stało, jak przewidziała wszystko wiedząca Hiranyaka.

Myśliwy, ujrzawszy nad brzegiem wody sporą gazelę, nieżywą wprawdzie, gdyż łakomy kruk—jak sądził—już wydłubywał jej mar-

twe oczy, lecz z wyglądu świeżą całkiem, pomyślał sobie, iż nie godzi się opuścić okazyi sporządzenia dobrej wieczerzy — rzucił więc żółwia koło wody i poszedł po kozę.

Citranga tymczasem, choć nie widziała go, gdyż oczy miała mocno zamknięte, lecz słysząc szelest blizkich już jego kroków, zerwała się na wszystkie cztery swoje sprawne nóżki i umknęła w las.

Langhupatanaka zatrzepotał czarnemi skrzydłami i poleciał na wysoką palmę.

Zdumiał się człowiek, przeraził, gdyż zaczęło to wszystko wyglądać na czary. Wrócił więc markotny i trwożny po żółwia, którego zostawił na samym brzegu strumienia.

Lecz tam, o, dziwo nad dziwy, żółwia już nie było. Leżał tylko na kawałki pogryziony sznur, a śród zeschłej trawy zaszeleściała jakaś drobna myszka.

Myśliwy całkiem już stracił głowę i co tchu począł uciekać do domu, oglądając się w strachu wielkim na wszystkie strony.

Po krótkiej chwili zebrali się wszyscy przyjaciele na wspólną wieczerzę i żyli dalej razem zgodnie i szczęśliwie.

Jeżeli zwierzęta bezrozumne, wspierając

się wzajemnie w nieszczęściach, pokonać mogły tyle przeciwności, jakichże cudów dokonać by mogli ludzie, obdarzeni duszą, gdyby niemi powodowała prawdziwa miłość bliźniego, zgoda i jedność w szczęściu i w nieszczęściu!

KONIEC.

